M.B. im. L. W. w Łodzi

odgłosy

TYGODNIK ŁÓDZKI

Rok I. Łódź, 18 maja 1958 r. Cena 1 zł nr 12

NASZE RENDEZ-VOUS Z CZYTELNIKAMI
W PIĄTEK 16 B. M.
W KLUBIE MPiK O GODZ. 19

W NUMERZE:

CZYTAJCIE KRYMINAŁY
SPRZECZKI I SPRZECZNOŚCI
DŻUNGLA W ŁODZI
ODPOWIEDZI PODJADKA

JÓZEF LEBENBAUM

SPÓR O ODRĘ CZY... O POLSKĘ I EUROPĘ?

Trzynaście lat temu wiosną i latem 1945 roku ciągnęły nieprzerwanie na Zachód transporty Niemców, opuszczających Wrocław i Szczecin, Koszalin, Opole i przenoszących się do Wittembergii, Bawarii, do Saksonii i Berlina.

Niemcy na pewno nie opuszczali tej ziemi dobrowolnie. Opuszczali ją pod przymusem. Lecz czy był to akt samowoli ze strony żądnych odwetu krwiożerczych Polaków, czy Rosjan, jak to teraz pragnie przedstawić rewizjonistyczna propaganda? Nie. Tak zdecydowały cztery zwycięskie mocarstwa w Poczdamie. Akt ten świadczył o woli zakończenia trwającego od stuleci sporu i granice między słowiańszczyzną, a germanią. Taka była wola zwycięzców po wojnie, którą Niemcy rozpętali i którą Niemcy przegrali.

Od Piastów po czasy nam współczesne ze zmiennym szczęściem a przeważnie z nieszczęściem dla narodu polskiego toczył się dziejowy spór. Ale jedno w ciągu tego tysiąclecia nie ulegało zmianom — ciągłe parcie Niemców na Wschód, odwieczny Drang nach Osten.

Wyparto słowiańskie plemiona znad Odry i Nysy Łużyckiej. Wyrwano piastowskie pale, a potem sięgano coraz dalej na Wschód. Po rozbiorze w 1772 roku Prusy zagarnęły Warmię, by potem wraz z innymi zaborcami dobić Polskę i ucztować w Poznańskiem.

Historii ostatniej wojny nie trzeba chyba przypominać. Do Rzeszy Niemieckiej wcielona została nawet Łódź, a niemieccy historycy udowadniali z właściwym sobie pedantyzmem, iż Kraków to miasto czysto niemieckie.

Dlaczego przypominam prawdy dobrze znane? Czynię to dlatego, iż dziś, trzynaście lat po zwycięskiej wojnie z hitleryzmem istnieje państwo niemieckie: Niemiecka Republika Federalna, której oficjalną państwową politykę stanowi rewizjonizm, dążenie do odzyskania dawnego stanu posiadania.

Brzmi to paradoksalnie, ale w naszym społeczeństwie pokutuje żenująca niewiedza na temat niemieckiego rewi-

Dokończenie na str. 2

TADEUSZ SZEWERA

SPOWIEDŹ MATKI

Pan patrzy na moje ręce... Drżą. Drżą mi tak od dnia, w którym aresztowano mojego syna. Chodziłam już po różnych doktorach, zażywałam wszystko, co mi zalecali. Nic nie pomogło. Teraz przyszłam tutaj. Podobno lekarz dobry... Ale czy co poradzi? Gdybym opowiedziała mu dokładnie, jak to się stało, może by odpowiedni lek przepisał. Ale jak proszę pana, mówić o tym lekarzowi? Pacjentów zawsze dużo, doktór się spieszy... To i nie mówię, choć czuję potrzebę zwierzania się komuś obcemu z tego, co mnie spotkało od rodzonego dziecka. Gdybym miała pewność, że ten ktoś zrozumie mój ból i wstyd, byłoby mi lżej żyć i czekać. Ale czy mogę mieć taką pewność? Ludzie teraz jacyś inni, obojętni. Co ich może obchodzić matka aresztanta?

Co tydzień chodzę do więzienia, staję przy okienku koło bramy na ulicy. Ulica jest ruchliwa. Tyle ludzi tamtędy przechodzi. Nie znam ich, oni mnie nie znają, lecz spoglądają na mnie tak, jakby wiedzieli dla kogo podaję paczkę. A strażnicy, proszę pana, to czasem i krzyczą na mnie, że paczka nieprzepisowa, że za ciężka, — Coś pani tam napakowała temu łobuzowi? — I patrzą tak na mnie szyderczo, jakby mi chcieli powiedzieć: „Dobra z ciebie matka skoro wychowałaś takiego syna".

Ja wiem, proszę pana, że on za grzeczność nie siedzi, ale to jest moje dziecko.

Mój syn, proszę pana, ma teraz 19 lat. Już miesiąc jak go nie widziałam.

Mówią, że uroda nie daje szczęścia. To prawda, proszę pana. Ona stała się jego zgubą. Gdybym wiedziała, że za ładność mego dziecka tak odpokutuję, zeszpeciłabym mu twarz w kołysce. Niech by ludzie czuli do niego odrazę, a kobiety unikały jego spojrzeń.

Kiedy skończył siedem klas szkoły, powiedział w domu, że już więcej uczyć się nie będzie. Ojciec, jak ojciec. Nigdy nie szukał szczęścia w życiu rodzinnym. Pan wie jak to jest: wódka, karty, kobiety... Mnie i dzieci uważał za zło konieczne, na które trzeba pracować i, które trzeba utrzymać przy życiu. Nie winię go jednak za to, co się stało z jego synem. On przecież nigdy nie doznawał radości z ojcostwa... Wtedy też: zamiast porozmawiać z chłopakiem, to tylko powiedział: „Do wszystkiego trzeba mieć powołanie. Do nauki także. Nie chcesz się uczyć, znaczy się nie masz powołania".

Dostał syn robotę w fabryce, nawet niedaleko od nas. Miał wtedy siedemnaście lat; (bo proszę pana, on późno poszedł do szkoły.

(Dokończenie na str. 4)

Wiesław Vardzinski

Szajka Burego Kota

Szajka Burego Kota operowała głównie na Bałutach. Jej członkowie, o ile dobrze wiem, zapuszczali się niekiedy w gąszcz uliczek pobliskiej dzielnicy Staromiejskiej, bywali i na Kozinach, w zasadzie jednak trzymali się wiernie macierzystego terenu. Pięć niewielkich sylwetek czaiło się najchętniej w zamglone, deszczowe wieczory w rejonach Łagiewnickiej, Limanowskiego, Zgierskiej, penetrowało uważnie Bałucki rynek, puste przestrzenie pomiędzy nowymi blokami, aż za dawny plac Tamfaniego. Szczególnie obfity łup przynosiły soboty i dni wypłat. Pechowy pijak, który się znalazł obok bramy przechodniej tracił niezwykle szybko resztę pieniędzy. Chłopcy otaczali nieszczęśnika odurzonego alkoholem i świeżym powietrzem, szybkie nerwowe palce Burego Kota sprawnie przeszukiwały kieszenie. Szajka znikała błyskawicznie w podwórku. My, zwykli śmiertelnicy, nie znamy olbrzymich przestrzeni — podwórek, przybudówek, drwalek, śmietników, ogrodów, oddzielających od siebie poszczególne ulice. Te przestrzenie zajmują znacznie więcej miejsca niż ulice. Nikt chyba nie znał tak dokładnie tych zakamarków, pasażyków, tajemnych przejść, jak Bury Kot i jego ludzie.

Na ulicy przechodnie wyśmiewali okradzionego pijaka, chłopcy zaś biegli przez podwórze, wspinali się na śmietniki, śmigali przez płoty, przebiegali sady i warzywniki, lądowali wreszcie w bezpiecznym miejscu. Ciężko zarobione pieniądze dzielił sprawiedliwie Bury Kot, każdemu według zasług, demokratycznie. Z tym jednak, że sam pobierał coś w rodzaju dodatku funkcyjnego za kierownictwo.

Skąd się wzięła nazwa Burego Kota — trudno dzisiaj ustalić. Prawdopodobnie nie bez znaczenia był fakt, że dowódca widział doskonale w nocy i umiał skradać się bezszelestnie na podgumowanych butach. Ilekroć Bury Kot odczuwał brak pieniędzy proponował grę w karty, a że karty poznaczył, zgarniał owoce całomiesięcznej pracy.

Tak wyobraża sobie działalność szajki nauczycielka. Oczywiście, trzeba to koniecznie wyjaśnić, słowo szajka jest zbyt wielkie, przesadzone, sugeruje conajmniej krew na łódzkim bruku, jakieś ucieczki, pościgi, śledztwo, sąd, prokuratorskie oskarżenie i wyrok. W gruncie rzeczy cała sprawa rozstrzygnęła się w sekcji rodziców i moralach kierownika szkoły. Zaś czternastoletni winowajcy przekonali się raz jeszcze, że z wielkiej chmury mały deszcz. Nie jest w Polsce tak źle dla ludzi z inicjatywą!

Rozmawiamy w szkole. Rozmowa nie idzie nam gładko. Korytarz długi, wąski, ciemny, wypełnia krzyk siedmiu pokoleń. Jest ciasno, nie ma się gdzie obrócić, krzyki uniemożliwiają normalną wymianę zdań. Ale nauczycielka nie może opuścić korytarza, dyżuruje. Podziwiam ją. Nieomylnie, co chwila wyłuskuje z hałaśliwego tłumu winowajców.

— Więc panie redaktorze, po Burym Kocie, nie ma śladu. Z tej grupy pozostał tylko Krzysztofik, drugoroczny, reszta w Szkole Średniej, podobno porządni z nich uczniowie.

— Olęcki, czegoś się tak wypacykował? Proszę się natychmiast umyć!

Chłopiec znika posłusznie w umywalni.

— Małpują jedną z naszych koleżanek. Boże, jaka ta młodzież potrafi być okrutna! Koleżanka, biolog, ma już co prawda swoje lata, ale spodziewa się wyjść zamąż... Napisali jej na tablicy, że widzą u niej siwe włosy po prawej stronie głowy, radzą jej wyrwać, bo się narzeczony rozmyśli. Wszystko widzą, panie redaktorze. Wczoraj cała klasa wyperfumowała się i umazała szminką, chłopcy zwracali się do dziewcząt tylko per „moja perełko", a dziewczęta odpowiadały „ach, Antoni!". Podglądali ich w parku, co za okrucieństwo!

— Dlaczego? — stawiam to pytanie chociaż wiem, że nie sposób na nie odpowiedzieć. Dlaczego działała kiedyś, przed rokiem, szajka Burego Kota? Kto temu winien? Pijacy czy nauczyciele? Czemu cała bez wyjątku klasa siódma, klasa tak boleśnie, tak bardzo złośliwie ugodziła nauczycielkę, która po dwudziestu pięciu latach wyczerpującej pracy pomyślała wreszcie i o sobie, chciała mieć odrobinę zwykłego, ludzkiego szczęścia?

Rozglądam się po szkole. W ciasnym budynku uczy się przeszło siedemset dzieci. Siedem setek dzieci tłoczy się w klasach rano, w południe i wieczorem. Bywają klasy czynne prawie zawsze przy elektrycznym świetle, zgromadzone w nich dzieci nie oglądają w szkole słońca. Brak pomieszczeń, brak nowych szkół, nie brak natomiast dzieci. Rokrocznie około 7.000 pociech przekracza progi szkoły w naszym mieście. Tymczasem budownictwo, pomijając przyczyny, nie nadąża za tą armią milusińskich. Klasy pęcznieją, tłok z każdym rokiem coraz większy.

Patrzę na siwą nauczycielkę, podziwiam jej spokój i opanowanie. Jak ona wszystko dokładnie wie! Wołowski znów ma brudne uszy, Kurek wszedł pod ławkę i szczekał na lekcji matematyki, Koza wycinał artystki filmowe z gazet, Malawska używa szminki i pisze już listy miłosne do pewnego porucznika. Nachodzi mnie uparta myśl, aby tu, w ciasnym korytarzu, na oczach rozbrykanej młodzieży, ucałować jej ręce. Przed dziesięciu laty miała w klasie przeciętnie 25 dzieci, obecnie już 45. Jakże w takich warunkach zawiązać prawidłowy, pogłębiony stosunek wychowawczy? W jaki sposób może starczyć czasu na zbadanie warunków życiowych ucznia, czy choćby przeczytanie stosu zeszytów?

— No a teraz — mówi nauczycielka — mamy nowy kłopot. Giną w szkole wieczne pióra, sprawcy... mój Boże, gdyby ich można wykryć! Przed kilku dniami skradziono mi pióro, długopis i automatyczny ołówek.

AKCJA „WIECZNE PIÓRO"

Kluczymy od kilku dni z nauczycielką po ulicach północnej części Łodzi. Co do mnie, snułem wieczorami rozmaite domysły. Prawdziwy Sherlock Holmes, tyle że z klasowym podejściem. Rozumowałem tak: w szajce Burego Kota, z której pozostał w szkole tylko Krzysztofik, patentowany osioł, drugoroczniak, musieli się zebrać z pewnością synowie bogatych sklepikarzy, rzemieślników, niebieskich ptaków, rycerzy spekulacji itp. Wszyscy znali dobrze magiczną siłę pieniądza, za który można kupić nawet rozgrzeszenie za przestępstwa. Obok potomstwa drobnego kapitału, znalazły się typowie dzieci ulicy, opuszczone, niedopilnowane. Wiadomo — matka zapracowana, ojciec alkoholik, siostra „lekkich obyczajów". Tak powstaje banda, tylko sprawdzić personalia i sprawa stanie się jasna. Nie udało mi się to zastosowanie klasowych przesłanek do śledztwa. Szajka Burego Kota — to dzieci robotników, inżyniera i pracownika partyjnego. Ani jednego z kiepskim rodowodem, wszyscy klasowo nienaganni.

Przystajemy w pewnej odległości od sklepików z wiecznymi piórami. Wystawy oglądają nasze agentki, zachodzą także do środka i proponują sprzedaż wiecznych piór po cenach bajecznie niskich. Jeżeli któryś z kupców schwyci przynętę będziemy ten sklep obserwować baczniej. Agentki to

(Dokończenie ze str. 1)

zjonizmu. Przeciętnie inteligentny Polak wie o tym, że Niemiecka Republika Federalna nie uznaje naszych granic na Odrze i Nysie, słyszał o działalności na terytorium NRF ziomkostw wysiedlonych, wie że one plus szereg instytutów uprawiają działalność rewizjonistyczną, to znaczy publikują broszurki, książki itp., które próbują dowodzić praw Niemiec do ziem „zagarniętych" po wojnie przez Polskę.

To wszystko prawda, ale prawda niepełna, ułamkowa. Prawda przez duże „P" jest znacznie groźniejsza.

Prawdą są Niemcy, w których kultywowany jest duch Bismarcka. Prawdą są Niemcy, których kanclerzem jest Adenauer, odziany w płaszcz honorowego Krzyżaka. Prawdą jest Bundeswehra. Ta Bundeswehra stanowić będzie niedługo najpotężniejszą armię zachodniej Europy. W Bundeswehrze prowadzi się specjalne szkolenie polityczne. W wydanym ostatnio podręczniku dla wojska (czarnobiała obwoluta) ostatni rozdział nosi tytuł: „Europejska polityka wschodnia". Ot, taki, nie nowy zresztą, termin w państwie, w którym jawnie się mówi o europejskiej polityce wschodniej. Niemcy oczywiście, mają być ramieniem wykonawczym tej europejskiej misji. (Warto przypomnieć plany Adenauera o stworzeniu polsko-niemieckiego kondominium na Ziemiach Zachodnich, w ramach małej czy średniej Europy). W rozdziale tym mówi się o Niemczech w granicach 1937 roku. I nazywa się Poznańskie, Górny Śląsk ziemiami spornymi. O rzekomym prawie Niemiec do tych ziem uczy się niemiecki żołnierz, uczy się nienawidzieć tych, którzy mu tę ziemię odebrali, a jak wiadomo, przyjacielem nienawiści bywa odwet.

Leopold Tyrmand w „Tygodniku Powszechnym" zamieścił ostatnio wrażenia i wnioski ze swego pobytu w Niemczech zachodnich. Dowodzi on, że społeczeństwo niemieckie jest całkowicie pokojowe, rewizjoniści to mała garstka zawodowych polityków, społeczeństwo niemieckie wykazuje bierność wobec wszelkiej polityki. Z tej „bierności" Tyrmand wysnuwa optymistyczny wniosek. A wysnuć trzeba wniosek wręcz przeciwny. Bierność dziś, to gościniec prowadzący do zbrodni — jutro.

Jeszcze w 1939 roku ulica berlińska żegnała odchodzących na front polski żołnierzy milczeniem a nieraz łzami. W kilka miesięcy potem, już po zwycięstwach, ta sama berlińska ulica witała i żegnała swych żołnierzy kwiatami i entuzjastyczno-patriotycznym spazmem. Rozkołysać bowiem na pozór bierne masy nie jest trudno, zwłaszcza kiedy te masy dały już swój placet na Bundeswehrę, na rakiety i broń jądrową.

W obliczu szalejącej niemieckiej propagandy rewizjonistycznej Polska musi się zdobyć również na poważny wysiłek propagandowy. Winniśmy ustawicznie przypominać o prawie Polski do Ziem Zachodnich wobec własnego narodu, całego świata, wobec samych Niemców.

W naszej argumentacji zwracamy uwagę na racje historyczne, na piastowskie słupy sprzed tysiąca lat. To dobrze. Bez racji historycznych przede wszystkim Polacy czuliby się intruzami nad Odrą i Nysą. Ale jak wiemy, w polityce liczy się nie tylko historia. W polityce bardziej ważki jest argument współczesny niż argument historyczny. A tych argumentów współczesnych mamy kilka i to argumentów nie do obalenia.

SPÓR O ODRĘ CZY... O POLSKĘ I EUROPĘ?

Argument pierwszy: u podstaw decyzji czterech wielkich mocarstw, które oddały Polsce ziemie nad Bałtykiem, Odrą i Nysą Łużycką leżało przekonanie, iż trzeba raz na zawsze uciąć łeb niemieckiemu parciu na Wschód. Odra i Nysa miały się stać nie tylko granicą sprawiedliwości, ale i wielką nauką historyczną dla Niemców. Spór o ziemię na granicach Polski i Niemiec miał być definitywnie zakończony. Odrzucenie bowiem status quo i powrót do odwiecznego sporu oznacza nic innego jak zamianę granicy pokoju na krwawą granicę. Oznaczałoby to, iż druga wojna światowa, to nie zakończenie całego etapu historycznego w stosunkach polsko-niemieckich, ale jedynie zamknięcie jednego z rozdziałów.

Argument drugi: Niemcy wojnę przegrały, a Polska wojnę wygrała. Wygrana Niemców we wrześniu 1939 r. przyniosła zagładę sześciu milionów ludzi na polskiej ziemi. Wygrana ta — to ruiny Warszawy, setek innych polskich miast i miasteczek, to pięcioletnia niewolnicza praca i niewolnicza egzystencja narodu polskiego. I gdyby nie zwycięstwo frontu antyfaszystowskiego — tragiczny wrzesień 1939 r. byłby początkiem końca biologicznej egzystencji Polaków w ogóle. Dla Polski zwycięstwo Związku Radzieckiego i Aliantów wiąże się nierozerwalnie z powrotem nad Odrę, Bałtyk i Nysę. Jest to rekompensata za straty poniesione w wojnie i zabezpieczenie się przed nią na przyszłość, wynik przesunięcia się granic całej słowiańszczyzny na Zachód, granicy Związku Radzieckiego i naszej.

Argument trzeci: Powrót Polski nad Odrę i Nysę to fakt dokonany. Do roku 1945 ziemie te zamieszkiwało 9 milionów Niemców. Dziś w roku 1958 zamieszkuje je blisko siedem i pół miliona Polaków. Polacy dźwignęli te ziemie z ruiny. Kosztem miliardowej daniny, kosztem okrojenia narodowego bochenka chleba. Dziś, po trzynastu latach, chyba tylko szaleniec myśleć może o nowej wędrówce ludów.

Argument czwarty: Ziemie nad Odrą i Nysą stanowiły dla Rzeszy Niemieckiej ekonomiczny margines, zaplecze rolniczo-wypoczynkowe. Potencjał przemysłowy tych ziem stanowił jedynie 7 proc. w stosunku do całości. Objęliśmy te ziemie we władanie, gdy wojna zniszczyła tu 38 proc. budynków mieszkalnych i blisko połowę przemysłu, gdy pozostało tu zaledwie 8 proc. bydła i 2 proc. trzody chlewnej.

Przez dziesiątki lat trwała z dawnych niemieckich ziem wschodnich emigracja do Niemiec centralnych i zachodnich. A na tych ziemiach pracowało rokrocznie 420 tysięcy sezonowych robotników polskich. Niemcy, już przed pierwszą wojną światową próbowali zatrudniać na tych ziemiach Szwedów, a nawet Murzynów z Kamerunu i Chińczyków, aby zmniejszyć napływ polskich robotników.

Ten były ekonomiczny margines Niemiec stanowi dziś integralną część organizmu gospodarczego Polski. W 1945 roku udział przemysłu Ziem Zachodnich w produkcji przemysłowej Polski wynosił 8,1 proc. Dziś wynosi 27 proc. Niemcy wydobywali z tych ziem 26,1 mln. ton węgla. Polska wydobywa w roku 1958 — 26,8 mln. ton węgla. Niemcy produkowali na tych ziemiach 520 tys. ton stali, my produkujemy — 1.200 tys. ton. Niemcy 130 tys. ton obrabiarek, my — 400 tys. ton. Na ziemiach tych znajduje się już 72,8 proc. przedwojennego pogłowia bydła, a produkcja rolnicza wynosi blisko trzy czwarte produkcji przedwojennej.

Takie są cyfry. Zawiera się w nich ogrom pracy. Czy można było zrobić więcej? Zawsze można zrobić więcej. Trzeba jednakże zważyć całą złożoność procesu wrastania

Dokończenie na str. 8

Nasza szkółka

CZYTAJCIE KRYMINAŁY

. . . . . .

Macie bujną wyobraźnię? Jeśli macie, podstawcie sobie w miejsce powyżej wykropkowane najostrzejsze i najplugawsze wyrazy, jakie znacie i wiedzcie, że właśnie ich tu Belfer Wasz w domyśle użył. A to pod adresem tygodnika „Za i Przeciw", który — jeśli go nie znacie, to radzę, przynajmniej raz weźcie do ręki. Zabawa smutna, ale duża.

W numerze 19 „Za i Przeciw" epatuje czytelnika tytułowym pytaniem „Czy propaganda bandytyzmu?" atakując... fakt zamieszczenia przez „Kulisy" artykuliku, opisującego napad na bank we Włoszech. Służę próbką:

„W związku z tym zapytuję, czy w Polsce Ludowej w okresie wzrostu przestępczości, zwłaszcza wśród nieletnich i młodocianych, istnieje możliwość przecięcia ropiejącego wrzodu brukowej prasy, zajmującej się propagandą bandytyzmu?

Czy nie ma sposobu, aby ludzie pozbawieni skrupułów, propagatorzy przestępstw, demoralizatorzy, zostali zmuszeni do milczenia?

Czy nie ma sposobu, aby „Kulisy", żerujące na najniższych instynktach i same te instynkty pobudzające, znikły z kiosków w naszym kraju?"

I dalej:

„. . . żądam otwarcia publicznej dyskusji na temat środków ukrócenia działalności ludzi wyzutych z poczucia odpowiedzialności za zło, które szerzą!

Nie po to pracujemy w ciężkich nieraz warunkach, nie po to płacimy podatki, aby za nasze pieniądze ukazywały się wydawnictwa, których jedynym celem jest burzyć to wszystko, co my budujemy! (sic!).

Formą zaprezentowanej w cytacie chuligańskiej metody publicystycznej mógłby się zająć sąd. My zaś — jako że czytanie gazet stanowi nasze zainteresowanie programowe — zajmiemy się „meritum problemu".

1. Od dziesiątków lat rozrywką, z której korzysta cały świat, są kryminalne powieści i reportaże. Rozrywką taką jak wiele innych. Rozrywką i już. Ongi pozbawiono nas tej rozrywki w imię „dobra socjalizmu", które ponoć wtedy cierpi, a raczej nie cierpi wszystkiego, co bezpośrednio nie służy sprawie „budowania jego zrębów". Dziś pewne koła katolickie podnoszą te same hasła znów terroryzując nas... socjalizmem, moralnością itd. Czy traktować owe wysiłki z poczuciem humoru i tyle, czy też bać się ich skutków i ofensywnego następowania? Nie wiem.

2. W owej prześmiesznogroźnej filipice mamy też satysfakcję przeczytać:

„. . . W artykule (oprócz określenia „podejrzane typy") nie użyto ani jednego słowa potępiającego przestępstwo..."

Mniemam, że pisma obowiązują przy doborze materiału do druku, nie tylko pewne wymogi natury „moralnej" ale i intelektualnej. Człowiek redagujący czy piszący powinien np. wiedzieć, iż wszystkie cywilizowane społeczeństwa od wielu tysięcy lat potępiają i jednoznacznie oceniają kradzież i rabunek. Wynika stąd, że pretensja, by przy każdej wzmiance „X ukradł" pisać „A fuj! My jesteśmy przeciwko kradzieży! Zupełnie przeciw! Kraść nie należy, bo" — jest jedną ze śmieszniejszych, jakie w swej karierze czytelniczej spotkałem.

3. A „Za i Przeciw" tymczasem ciągnie dalej:

„Nie wiem, jakie pisma czytywał Kałużny, student Akademii Wychowania Fizycznego, porywacz i morderca kilkuletniej dziewczynki, lub członkowie bandy Goryli, gwałcący nieletnie dziewczynki. Możliwe, że oprócz „Kulis" również „Panoramę". Wiem, że czytają te pisma młodzi chłopcy z Targówka Fabrycznego, gdzie nie ma biblioteki, ani czytelni dla młodzieży, ale gdzie jest kilkanaście kiosków „Ruchu" z lekkostrawną i pasującą do ich poziomu prasą brukową".

Hamując mą ciekawość, kiedy to „społeczno-postępowe bojówki" pójdą demolować kioski „Ruchu", a kontynuując zaprezentowaną w cytowanym artykuliku linię „rozumowania" proponuję, by nie pisać w prasie o biedzie, to biedy nie będzie, o wojnach, to wojen nie będzie, o prostytucji, to prostytucji nie będzie itd. Bo jak wiadomo wszystkie pomysły robienia złych rzeczy i wprowadzania w świecie tych i innych nieprzyjemnych urządzeń — politycy, rządy, złodzieje i dziewczynki — czerpią z prasy.

Uczniowie moi! Zmuszają mnie wręcz okoliczności do rzucenia hasła: „Lubicie czy nie lubicie, czytajcie kryminały!" Czytanie kryminałów społecznym obowiązkiem światłego człowieka!" „Czytając kryminały solidarnie zamanifestujmy swoje wypięcie się na misjonarzy kołtuńskiej bzdury!"

Bo ja, Wasz Belfer, że zwierzę się, kryminałów nie znoszę. Nudzą mnie — takie mam kalectwo. Ale od dziś — czytam!!!

BELFER.

P. S. „Artykuł" pt. „Czy propaganda bandytyzmu?" podpisany jest: „Kurator sądu dla nieletnich m. st. Warszawy". I tu się zaczyna problem. Bo cała armia „Urke Nachalników", czy morze krwawych comicsów w prasie, książce i jak tylko chcecie, nie może zdziałać tyle zła, co tacy kuratorzy o takich poglądach i takim aparacie intelektualnym.

EDWARD SZUSTER

Sprzeczki i sprzeczności

Trudno nie spostrzec, że publicystyka kulturowa przeżywa ostatnio okres urodzaju w łódzkich gazetach i czasopismach. Napisano już na ten temat wiele analiz, przyczynków, ocen i postulatów; rozważania o tym czy Łódź jest „prowincją kulturalną" czy też tylko miastem obojętnym dla artystów i ludzi kultury prowadzone były z pasją i żarliwością. Niejednej oceny doczekała się też polityka kulturalna — załóżmy, że coś takiego istnieje — realizowana w naszym mieście. Zainteresowanie, jakiego doczekały się dość nieoczekiwanie te na pewno nie błahe sprawy napawa otuchą, która byłaby chyba bliska przeistoczeniu się w optymizm, gdyby nie pewna drobnostka — skłonność do jednostronnego, upraszczającego całą sprawę ujęcia.

Cytowanie jest dziś co prawda niemodne, mimo to powołam się tu na jednego z klasyków naszej publicystyki kulturowej. W recenzji z wystawy „Piątego koła" drukowanej w „Głosie Robotniczym" napisał Edward Etler następujące słowa: „Obraz abstrakcyjny nigdy nie stanie się przedmiotem kultu szerokich mas. Podobny jest w tym względzie skomplikowanym zagadnieniom naukowym, których człowiek — przypadkowo zainteresowany — na ogół nie rozpatruje. Ale o ile uczeni snują swe dociekania bezkarnie — otoczeni uznaniem względnie życzliwą obojętnością społeczeństwa, o tyle plastycy — zajęci problemami własnej sztuki — napotykają na nieufność albo jawną wrogość". Moim zdaniem, spostrzeżona tu przez Etlera różnica zainteresowań i potrzeb między plastykami a — użyjmy tego określenia — szeroką publicznością jest po prostu manifestacją sprzeczności, jakie istnieją między poszukującym artystą a masami konsumentów sztuki. Sprzeczność taka istnieje w każdej zresztą dyscyplinie artystycznej: każdy ambitny reżyser czy aktor chciałby grać Ionescu a niewielu widzów przyjdzie na to przedstawienie; każdy żywszy prozaik podpatruje Camusa, a w bibliotekach Sienkiewicz i Kraszewski idą jak woda. To są fakty irytujące może, ale konkretne i przeskoczyć ich się nie da w żadnej polityce kulturalnej: ani w tej postulowanej, ani w tej realizowanej (jeśli przyjmiemy, że coś takiego w Łodzi istnieje).

Polityka kulturalna jest to instrument posiadający — jak ów przysłowiowy kij — dwa końce, którymi należy operować jednocześnie.

Metody i środki za pomocą których pragnie się wpływać na ludzi tworzących nowe wartości kulturalne oraz ogół przedsięwzięć mających zabezpieczyć możliwie szeroką „konsumpcję" tychże wartości — łączyć powinna jakaś jednorodna myśl, koncepcja. Znalezienie tego wspólnego mianownika nie jest bynajmniej rzeczą prostą właśnie ze względu na istnienie sprzeczności, o których była tu mowa. Środowiska twórcze oczekują od sterników polityki kulturalnej pomocy w poszukiwaniach nowych form i środków wyrazu; szeroka publiczność uważa, że zadaniem polityki kulturalnej winno być rozpowszechnianie sprawdzonych już i przez tradycję potwierdzonych wartości kulturalnych. Sprzeczności te nie mają, na szczęście, charakteru antagonistycznego — eksperymentujący artysta nie musi fizycznie likwidować szerokiej publiczności po to, by realizować swoje pragnienia i dążenia — niemniej sianem się z tej historii wykręcić trudno. Trzeba istotnie mądrej i uważnej polityki, aby wspomnianą sprzeczność pokonywać, a różnice potrzeb obu interesujących działaczy kultury środowisk zmniejszać. Co prawda, Jerzy Waleńczyk („Odgłosy" nr 9) twierdzi, że szerokie masy skłonne byłyby przyjąć „subtelne igraszki umysłu ludzkiego" zawarte m. in. w sztuce abstrakcyjnej, nowoczesnej, gdyby nie przeszkadzali im w tym nierozgarnięci urzędnicy różnych instytucji i instancji, apostołowie „czyśćca naturalizmu". Zaiste budująca jest wiara J. Waleńczyka w potęgę władztwa, jakie nad artystycznymi upodobaniami mas sprawują urzędnicy, ale ja tej wiary nie podzielam. Czemużby właśnie teraz udało się urzędnikom ujarzmić gusty maluczkich, skoro przez ładne kilka latek nie zdołali tego uczynić mimo intensywnych wysiłków? To, co w tymże samym (9) numerze „Odgłosów" pisze Józef Kądzielski („Co czyta i ogląda robotnik łódzki") jest chyba znacznie bliższe prawdy, niż efektowne hipotezy poety, który jeśli dostrzega sprzeczności w dziedzinie polityki kulturalnej, to lokuje je między twórcą a urzędnikiem kultury.

Moim skromnym zdaniem, właśnie w tym miejscu — między twórcą a urzędnikiem — panuje w Łodzi harmonia zgoła przykładna mimo takich czy innych pokrzykiwań i krytyk. Łódź nie jest na pewno — w osobach swych gospodarzy — miastem obojętnym dla artystów i ludzi kultury. Wręcz przeciwnie, istnieje raczej tendencja do polityki kulturalnej z pozycji absolutyzmu oświeconego w odniesieniu do „szerokich mas". Ujawnia się ta tendencja zarówno w dyskusji prasowej, jaką obserwujemy ostatnio, jak i w praktycznym działaniu różnych instytucji i kolektywów doradczych. O tym, że tak jest i o tym dlaczego tak jest, napiszę w następnym felietonie

Tajniki wywiadów, gabinetów i wydarzeń XX wieku

POCZĄTEK I KONIEC „WIELKIEJ DROGI CESARSTWA"

OSCAR LINDAY

Część IV

BĘKARCI Z BATAANU

KONTRATAK CZOŁGÓW. — STRACONE ZŁUDZENIA. — KRWAWY „TYGRYS MALAJÓW". — MARSZ ŚMIERCI. — CORREGIDOR WALCZY!

We are the battling
bastards of Bataan
No father, no mather,
no Uncle Sam

My jesteśmy walczący
bękarci z Bataanu
Bez ojca, bez matki,
bez Wuja Sama.

*

Kapitan Morrison długimi, niecierpliwymi haustami opróżniał manierkę. Ciemny płyn sączył się po brodzie i kapał na zakurzony polowy mundur.

— Coca Cola — powiedział z satysfakcją, odrywając próżne naczynie od ust. — Z trudnością rozpoznaję smak — zaśmiał się. — Już cztery dni nie piłem!

— Tak, Joe — zwrócił się do stojącego obok wysokiego oficera lotnictwa obecnie „spieszonego". — Ostatnio raz pod San Fernando, jak zrobiliśmy Japów do morza...

— To był niepowtarzalny widok — przerwał lotnik. — Tuż przed wieczorem atakiem obserwowałem głównych japońskiej floty w zatoce. Kiedy już spuścili łodzie desantowe z piechotą i płynęli do brzegu, jakaś łódź podwodna podeszła i ostrzeliała jedyny w zespole statek desantowy do przewożenia artylerii i czołgów. Zatonął w ciągu 11 minut, patrzyłem na zegarek.

— I pomimo tego Japi zdecydowali się lądować...

— Przypuszczam, że ta decyzja przyszła im z trudem. Widziałem wyraźne zmieszanie, próby odwrotu. Resztę zrobiły twoje czołgi.

— Dla nas było ważne — mówił Morrison, że tam, pod San Fernando rozwiał mit niezwyciężoności japońskiego żołnierza. Topili się w morzu jak szczury.

— Życzę takiego samego powodzenia, Morrison.

— Dzięki. Kiedy będziesz znów latał?

Mapa 3. Operacje japońskie na Luzonie — główna wyspie archipelagu Filipińskiego.

Morrison wyczołgał się na kadłub czołgu i przez rozerwany właz wsunął się do wnętrza. Jego czołg był drugi w szeregu dziewięciu maszyn. Ten batalion — to ostatnia siła pancerna wojsk amerykańskich na Filipinach. Teraz przy pomocy piechoty mieli powstrzymać napór Japończyków w kierunku Bamban i San Jose, aby umożliwić ewakuację wojska z północnego i z odnego Luzonu.

— Wszystkie silniki gotowe. — krzyknął ktoś z tyłu

— Ruszamy — rozkazał Morrison.

Huk motorów splótł się z odgłosami niedalekiej walki.

Dotarli do miejscowości wioski. Przed kwadransem piechota amerykańska wyparła z niej Japończyków. Większość zabudowań płonęła. W pyle wiejskiej drogi leżały ciała poległych.

Do czołgu Morrisona podbiegł oficer piechoty.

— Niech pan wysiada! Niech pan wysiada! Musi pan zobaczyć! To musi panu zostać na całe życie w pamięci!

Zaprowadził Morrisona na tył zabudowań. To co ujrzeli było potwornie wstrząsające. Pod drewnianą ścianą domu stało czterech żołnierzy amerykańskich przykłutych bagnetami.

— Jak wpadliśmy tu, jeden jeszcze żył. Krzyczał, żeby go dobić... Sanitariusze nie mogli wyrwać ze ściany bagnetu. Pewnie im umarł na noszach.

Morrison poczuł mdłości. To

Japońskie stanowisko dowodzenia na przedpolu Bataanu.

już nie była wojna. To było potworne barbarzyństwo!

W tej chwili na północnym krańcu wsi wybuchła nerwowa strzelanina. Gdy Morrison podbiegł do swej kolumny, trzy czołgi ruszały już do boju...

*

Generał Mac Arthur siedział przychylony, z twarzą ukrytą w dłoniach. Wysłuchiwał raportów oficera sztabu.

— Pomimo ogłoszenia Manili miastem otwartym — relacjonował oficer — Japończycy w dniu dzisiejszym kontynuowali naloty na miasto. Są liczne ofiary i duże zniszczenia. Dowództwo Floty Azjatyckiej komunikuje, że nie może skutecznie przeciwdziałać ewentualnym dalszym lądowaniom nieprzyjaciela. Z wyjątkiem kilku łodzi podwodnych i ścigaczy, wszystkie jej jednostki zostały zatopione lub unieruchomione. Z powodu braku bezpiecznych baz admirał Hart rozważa możliwość podjęcia próby przebicia się resztek floty ku wyspom Hawajskim. W dniu dzisiejszym wróg wprowadził na kilku odcinkach specjalne jednostki wyposażone w miotacze płomieni o dużym zasięgu...

— Co w rejonie Bamban? — przerwał Mac Arthur.

— Według ostatnich doniesień nasza obrona wytrzymuje nadal napór Japończyków. Są jednak bardzo duże straty. Dalszy opór można obliczać już tylko na godziny.

— Czy ewakuacja zakończona?

— Jeszcze nie. Ale to kwestia krótkiego czasu.

— Czy ma pan mi jeszcze coś do zakomunikowania?

— Tak... Waszyngton... przekazał wiadomość — głos oficera załamywał się — że nie należy liczyć na pomoc floty ani lotnictwa... w ciągu najbliższych kilku tygodni...

— Tygodni! — Mac Arthur poderwał się. — Tygodni?! — Dlaczego pan mówi mi o tym dopiero teraz?

— Ja sam, generale, nie mogłem w to uwierzyć... Myślałem początkowo, że to jakaś pomyłka... Ale nie, depesza jest sprawdzona.

Zdawało się, że już nic nie zdoła zaskoczyć głównodowodzącego wojskami lądowymi na Filipinach. Minął zaledwie tydzień od pierwszego lądowania Japończyków. Sytuacja była już potwornie krytyczna, ale teraz, w dniu dzisiejszym, zaczęły się zarysowywać możliwości ustabilizowania frontu mniej więcej 90 km na północ od Manili. Oczywiście pod warunkiem nadejścia odsieczy, która uniemożliwi Japończykom przeprowadzanie dalszych desantów na tyłach. I oto prysnęło ostatnie złudzenie.

— Czy przechwycono jakieś depesze japońskie — spytał generał po kilkuminutowym milczeniu.

— Z tych, które udało się rozszyfrować wynika, że Japończycy przykładają ogromne wysiłki do szybkiego opanowania Filipin.

„A więc decyduje czas" — pomyślał Mac Arthur. Czas, to jedyna rzecz, którą możemy obronić na tej straconej pozycji.

— Niech pan przekaże wszystkim dowódcom mój rozkaz. — Mac Arthur powstał z miejsca. — Wszystkie oddziały, które nie są związane w walce mają się natychmiast wycofać na półwysep Bataan i niezwłocznie przystąpić do umocnienia linii obronnych u nasady półwyspu. Jeszcze tej nocy wycofać na Bataan całą artylerię polową i przeciwlotniczą. Wszystkie środki transportu użyć do zgromadzenia na półwyspie jak największej ilości amunicji. Proszę ponadto zakomunikować admirałowi Hartowi — zanim osobiście się z nim porozumiem — aby przerzucił resztę swoich okrętów na Corregidor, dla osłony naszych tyłów i skrzydeł na Bataanie.

*

W dwa dni po tym rozkazie znaczne siły japońskie lądowały w Zatoce Lamon, na południe od Manili. Korpus gen. Parckera tocząc z nieprzyjacielem walki odwrotowe, wycofywał się, zgodnie z rozkazem, na Bataan.

25 grudnia Japończycy podeszli do Manili. Obrona skoncentrowała się na półwyspie Bataan i małej skalistej wysepce Corregidor, jeszcze przed wojną silnie ufortyfikowanej. Był 17 dzień wojny. 17 dni potrzebowali Japończycy, aby zająć całe Filipiny oprócz małego skrawka ziemi długości 45 km i szerokości 30 km. Ale ten mały skrawek ziemi mógł stać się przyczółkiem dla prowadzenia skutecznych ataków, ponadto zamykał wyjście Zatoki

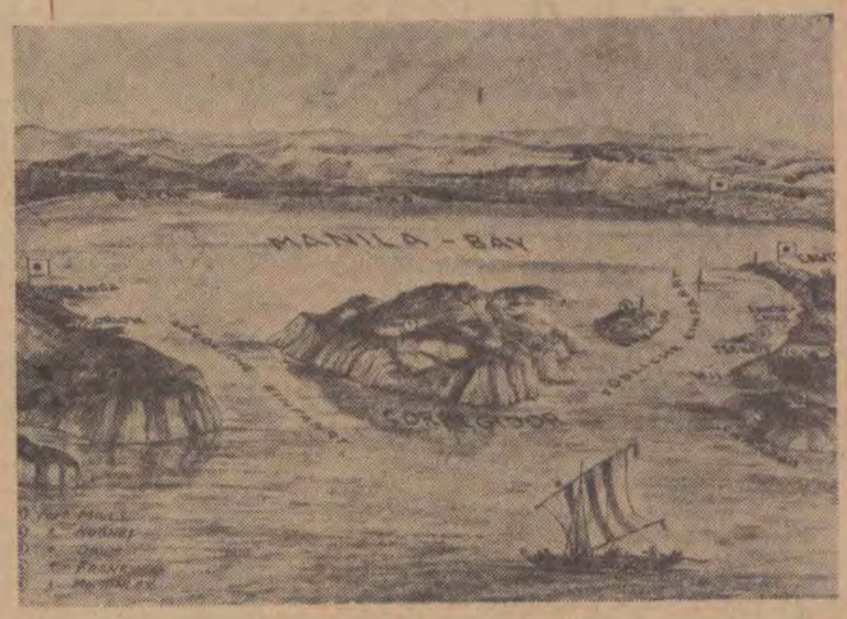

Szkic perspektywiczny wylotu Zatoki Manilskiej. Na lewo półwysep Bataan, na wprost Corregidor, na prawo półwysep Batangas.

Manilskiej, najdogodniejszej bazy morskiej na Filipinach. Japończycy rozumieli, że Bataan musi być zdobyty szybko, za wszelką cenę.

6 stycznia, po dwutygodniowych, nieprawdopodobnie zaciętych walkach, w których każdy zdobyty metr okupywali Japończycy krwawymi stratami, wojska filipińsko-amerykańskie cofnęły się około 8 km, zajmując umocnioną w międzyczasie pozycję, idealnie przystosowaną do obrony. W jej centrum wznosił się 1.500-metrowy masyw góry Natib. Na skrzydłach tej naturalnej cytadeli rosła gęsta dżungla. Wąski pas wybrzeża był bagnisty. Tu natarcie japońskie załamało się.

Niezadowolony z takiego obrotu spraw sztab japoński odwołał gen. Hommę. Na jego miejsce dowództwo objął gen. Yamashita, którego okrucieństwo i spryt przydało mu imię „Tygrysa Malajów".

Wzmocnione świeżymi posiłkami dywizje japońskie, znów podjęły morderczy szturm. Na zboczach Natibu poległy tysiące żołnierzy cesarstwa. Po trzytygodniowej obronie — 29 stycznia — „Bękarci z Bataanu" — bo tak sami siebie nazwali obrońcy półwyspu — musieli się cofnąć na ostatnią już linę obronną. Padła Balanga, główne miasto Bataanu. Za plecami obrońców pozostało już tylko 19 kilometrów wolnej ziemi. Tu jednak po raz drugi załamało się natarcie nieprzyjaciela.

Nie udały się także Japończykom próby wysadzenia desantu na południowym cyplu Bataanu. W wykutych w skałach Corregidoru tunelach czaiły się ścigacze i łodzie podwodne — resztki Floty Azjatyckiej. Dowodzący nimi po odjeździe admirała Harta komandor Slocum nabrał wprawy w prowadzeniu tą mikroskopijną flotą walki przeciw niewspółmiernie silniejszemu przeciwnikowi. Na wodach okalających Bataan torpedy z łodzi podwodnych i ścigaczy posłały na dno 1 lotniskowiec, 2 krążowniki, 4 lub 5 niszczycieli i kilka transportowców. Nawet dla wielkiej floty japońskiej były to straty bardzo ciężkie.

*

Tymczasem — zamiast zgodnie z planem wojny zwolnić wojska inwazyjne na Filipinach do innych operacji — wciąż nowe posiłki napływały na odcinek Bataanu. Yamashita pienił się ze wściekłości. Na ostatniej, zdawało się zupełnie straconej pozycji, „Bękarci z Bataanu" bronili się już siedemdziesiąt dni!

Teraz jednak musiała nastąpić ewakuacja części obrońców — brak żywności i amunicji groził katastrofą. Gen. Wainwright, od chwili wyjazdu Mac Arthura dowódca wojsk na Filipinach, zarządził przewiezienie kilku batalionów na Corregidor, którego przeznaczeniem było dalej kontynuować walkę. Znaczna większość obrońców Bataanu kapitulowała 9 kwietnia 1942 r.

Krwawy Yamashita wydał wówczas rozkaz, którego nie ośmielili się nawet wydać dowódcy armii hitlerowskiej (pozostawiając to zresztą swobodnej decyzji swych oddziałów) — zarządził zgładzenie obrońców Bataanu. Był to słynny już dziś ze swego okrucieństwa „marsz śmierci". Eskortowane przez motocyklistów i samochody pancerne kolumny jeńców gnano przez ponad 80 kilometrów, dobijając padających z wycieńczenia. Nieliczna garstka pod koniec piekielnej wędrówki została rozstrzelana. Z kilkutysięcznej gromady ocalało zaledwie kilku „scoutów" filipińskich, którym udało się uciec w dżunglę.

W trzy lata później, po kapitulacji Japonii, Yamashitę jako pierwszego skazano na śmierć i powieszono za zbrodnie wojenne.

*

Każdy komunikat o sytuacji na froncie, radio amerykańskie rozpoczynało stwierdzeniem: Corregidor walczy! Tak trwało do 6 maja 1942 r. — sto czterdziestego dziewiątego dnia obrony Filipin.

W tym dniu wyczerpały się ostatecznie zapasy słodkiej wody. Szansy odsieczy nie było — dalsza obrona nie miała sensu. Tego dnia Corregidor obchodził swoisty jubileusz — trzechsetny nalot japońskich bombowców! Całą noc poprzedniego dnia trwała walka na granaty i pistolety maszynowe z japońskim desantem wysadzonym na plażach wyspy.

6 maja o godz. 10-tej gen. Wainwright zawiadomił Japończyków przez radio, że Corregidor kapituluje...

Ale Yamashita chciał koniecznie „zdobyć" przeklętą wyspę. Obrońcy, którzy od dwu dni nie mieli w ustach kropli wody, odparli jeszcze jeden atak.

O godz. 16-tej umilkły ostatnie salwy. Nad Corregidorem rozwinął się sztandar wschodzącego słońca.

Yamashita, krwawy „Tygrys Malajów" wyłamał sobie kły na skałach Bataanu i Corregidoru. Zwycięscy przegrali walkę o czas...

(d.c.n.)

Za tydzień

LĄDOWO-MORSKI „BLITZKRIEG"

Wiesław Jażdżyński

Historia szajki „Burego Kota"

(Dokończenie ze str. 1)

po prostu uczennice, zatroskane o dobre imię szkoły. Pracują dla naszego wywiadu chętnie i bezinteresownie.

Wychowawczyni rozumuje słusznie, że nie po to nowa szajka kradnie pióra, aby je kolekcjonować. Muszą istnieć kupcy. I ma rację. Po kilku dniach obserwujemy niewielki sklepik. Jest z tym trochę kłopotu. Nauczycielce brak czasu, ja także nie zawsze mogę wybrać się w północne dzielnice miasta. Młodzież jednak pomaga wytrwale. Przyłapujemy Krzysztofika na gorącym uczynku. Ostatni członek szajki Burego Kota zdołał zmontować następną. Także pięciu chłopców — pilnych, dobrych uczniów. Skradzione pióra przechowywali w spływakach klozetowych, segregowali je i sprzedawali w kilku sklepikach, legitymując się sfałszowanymi zaświadczeniami rodziców, którzy oczywiście nie wiedzieli, że wyrazili zgodę na ten handel. Winowajcy zostali więc schwytani, ich matki uderzyły w płacz, znowu zmiękło nauczycielskie serce.

— Ostatecznie, wie pan, to dobrzy chłopcy, nie można im łamać życia. Myślę, że tego więcej nie zrobią. Raczej wymyślą coś innego.

Tak się też stało w niedalekiej przyszłości. Rodzice zwrócili równowartość pieniężną za skradzione pióra, zdaje się — około 300 złotych — i sprawa przycichła. Prowadziłem śledztwo na własną rękę dalej i udało mi się jak mówią wywiadowcy — ustalić „dodatkowe okoliczności zajścia".

W dużym, odrapanym domu czynszowym na Limanowskiego, mieli uczestnicy „akcji — wieczne pióro", doskonałą „melinę". Prawdę mówiąc wynajmowali ją od miejscowych wyrostków, kilku obiboków, których ani do szkoły wygnać, ani do roboty zapędzić. Ustaliłem ponad wszelką wątpliwość, że właściciele „meliny" przez cały rok udawali, że chodzą do szkoły i dopiero w czerwcu przekonali się rodzice, że łatwiej uwierzyć czasem w kłamstwo niż w prawdę.

„Melina" — obszerna komórka z okrągłym okienkiem, wyposażona w stare, zardzewiałe łóżko żelazne i połamany stolik mieściła się na poddaszu, przy strychu. Krzysztofik i jego kompania płacili za sublokatorkę w naturze, przynosili za każdym razem kilka flaszek wina. To płynne komorne spożywano wspólnie. Ponieważ chłopcy z „akcji — wieczne pióro" wszystkie pieniądze przeznaczali na wino, sądziłem, że obok możliwości obcowania z „dorosłymi mężczyznami", głównym motywem kradzieży była rozkosz picia w tajemniczej atmosferze „meliny". Czy możliwe? Zapytałem o to nauczycielkę.

— Czemu nie, panie redaktorze! — odpowiedziała.

Gorzka to prawda, ale na 45 dzieci w klasie, tylko dwie dziewczynki oświadczyły, że nigdy w życiu nie piły alkoholu. Pozostałe piją wino wraz z rodzicami, „w gościach", „na przyjęciu", z okazji chrzcin, wesela, wygranej w toto-lotka, wygranej ŁKS-u, „przy sobocie po robocie" i w dziesiątkach innych okazji. Nie jeden dobry ojciec chwali się, że taki mały szprync, a już się na kochanego tatusia zapatruje. Będzie zuch, wykapany ojciec!

Tragiczna zabawa w dorosłych! To jest w końcu prawie narodowy problem! Kiedyś przed laty przedszkolaki walczyły z imperializmem, skandowały „za" i „przeciw". Gorowąsy z okresu przedmutacyjnego „ustawiały" radę pedagogiczną, ale tego rodzaju zabawy dziś już szczęściem nie ma. Chłopak nie szkoli się „po linii młodzieżowej" lecz kopie piłkę. A jednak ponura zabawa trwa. Czternastolatki pociągające z flaszki za panią matką, owe wykapane tatusie, pieszczochy genialne, psute przez otoczenie, młodzieńcy z brodami ojców kapucynów, którzy przy flaszce w „Lilianie" załatwiają najważniejsze problemy tego świata, republiki koleżków, poznające przy „szkle", „w chacie" smak życia na „ubawie z ciałami", poeci grzebiący w śmietniku, znawcy życia komisariatowego — wciąż jeszcze zbieramy smutne owoce zabawy w dorosłych! Pokolenia skaczą na ślepo, z zamkniętymi oczyma z sielskiego dzieciństwa prosto w „dojrzałe życie". Ogniwa pośredniego, rozległej sfery przeżyć, przygód z lat wczesno-młodzieńczych — brak.

Nauczycielka powiada:

— Pan też był w wieku Krzysztofika, na pewno na fantazji panu nie zbywało, a jednak tego, co Krzysztofik pan nie wymyślił. Pan brał to co życie podsuwało i on to bierze. Tylko, że życie dziś inne...

Doprawdy należałoby połowę rodziców posłać do szkoły nie bacząc na ich zasługi.

MINISTERSTWO MIŁOŚCI.

Jeżeli brać pod uwagę kłopoty wychowawcze, nie ma w szkole pauzy, ani dużej, ani małej przerwy. Wybuchła nowa awantura. Bohaterem jest Olęcki i w pewnej mierze jego wierny towarzysz — Koza. Obaj uciekli aż za Sieradz, do lasu. Poprzedniego lata spędzał Olęcki w tej okolicy wakacje, u cioci. Skład kilkadziesiąt złotych, siekierę, koce, jakieś garnki, starą maszynkę spirytusową i ruszyli w las. Chcieli żyć z polowania. W lesie nie było akurat zwierzyny, wrócili więc na drugi dzień do domów w asyście milicji. Pieniądze wydali na bilety i cukierki.

Nauczycielka określa tę sprawę jako typowy przykład przejęcia się lekturą Londona, Mayne Reida, Curvooda i Coopera. Poradziła rodzicom, aby kupili chłopcom po dwa kilo surowego mięsa i kazali zjeść. Skutek był nadzwyczajny, niedoszłym włóczęgom odechciało się dziczyzny, nie prędko ruszą na polowanie. Zrozumieli też bezsens dosłownego traktowania literatury.

Krzysztofik uczy się dobrze, w jego ostatniej działalności ani śladu jakichś kradzieży, przestępstw. Spadkobiercy szajki Burego Kota zajmują się innymi sprawami. Nie ma wprawdzie jeszcze wystarczających dowodów, wiadomo jednak, że mamy w Polsce jeszcze jedno ministerstwo. W zatłoczonej szkole, w północnej części Łodzi, powstało bez jakiegokolwiek dekretu Ministerstwo Miłości. Kto jest ministrem — trudno jeszcze powiedzieć. Nauczycielka przypuszcza, że wbrew dotychczasowej tradycji ministrem jest dziewczyna, bodaj czy nie Michasia, bujna wyrosła nad wiek blondyna. A i Krzysztofik pełni tu niepoślednią rolę, z pewnością piastuje godność nie niższą niż — dyrektora departamentu pocałunków. Ten departament już znamy, o innych wiemy niewiele.

Mam tu przed sobą kilka dokumentów ministerialnych. Pierwszy podpisany nieczytelnie przez ministra zawiera uogólnienia na temat kobiet i nosi znamienny tytuł: „Kobieta jest podobna do części świata". „Od 14—18 roku dzika jak Azja, od 18—21 gorąca jak Afryka, od 21—35 zjeżdżona jak Europa, 35—60 zimna jak Antarktyda".

Natomiast ruchliwy Departament Pocałunków wydał coś w rodzaju regulaminu, albo instruktażu dla zainteresowanych. Całość pisana na kartce z zeszytu nosi tytuł: „Regulamin miłości nr 1". W regulaminie można przeczytać m. in.: „Całowanie poleca się w miejscach ciemnych... drapanie przy pocałunku wzbronione... przy pocałunku staraj się, aby dziewczyna siedziała na kolanach... jeśli

dziewczyna się upiera, trzeba obchodzić się z zimną krwią... dziewczyna omdlała nie będzie krzyczeć, wtedy całuj długo i mocno... pocałunek powinien trwać 2 minuty... usta miej otwarte bo nie zaznasz uczucia"...

Ministerstwo wyjaśniło także w specjalnym okólniku, co to znaczy jak dziewczyna podaje lewą rękę, a chłopiec nadepnie na nogę i szereg innych, niezwykle ważnych szczegółów.

Tak więc szajka Burego Kota, po zmianach personalnych, zmieniła także swój zasadniczy charakter. Czy jednak nie za wcześnie powstało Ministerstwo Miłości? Co sądzą o tym nauczyciele?

Przegadaliśmy niejedną godzinę. Otóż nauczyciele sądzą, że istnieje w życiu młodego człowieka swoisty Rubikon, który musi przekroczyć każdy zdrowy chłopak. Tym Rubikonem jest stosunek do dziewczyny. Można zaangażować najpiękniejsze anioły, straszyć diabłami, można perswadować słowami lub kijem, chłopiec i dziewczyna i tak staną przed Rubikonem. Na to nie ma rady. Musi się znaleźć jednak rada na to, by stanęli nad rzeką świadomości we właściwym czasie i odpowiednio przygotowani. I znowu powraca, jak bumerang, pytanie — czy tę radę znajdzie kilkunastu przepracowanych i nienajlepiej opłacanych nauczycieli. Czy kilkunastu ludzi może odpowiadać od początku do końca za siedem setek młodych, ciekawych życia? Niechże sobie na to pytanie odpowiedzą tatusie, mamusie, wujaszkowie, ciocie, babusie i dziadziusie, wszyscy w kręgu których żyje i dojrzewa szajka Burego Kota

WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI

PS. Nie szukajcie Burego Kota, ani jego kolegów, nie szukajcie szkoły, o której piszę. To są symbole, wzięte z obserwacji szeregu szkół, szeregu klas, to są rozmowy z wieloma niestrudzonymi wychowawcami.

SPOWIEDŹ MATKI

(Dokończenie ze str. 1)

Długo chorował jako dziecko, tom go oszczędzała). Dobrze mu nawet płacili, coś półtora tysiąca, dokładnie nie wiem, bo nigdy nie mówił ile. Zresztą nie dopominałam się o jego zarobki, miał je przecież dla siebie i na swoje potrzeby. Czasem jednak to i mnie dał 500 złotych. „Kup sobie matka co".

Któregoś dnia nie przyszedł na noc do domu. Nie zmrużyłam oczu do rana, tłukłam się od okien do drzwi, od drzwi do okien. Mąż spał, nie przebudził się ani razu. Wychodząc rano do roboty nie zapytał, gdzie chłopak. Myślałam, że oszaleję. Owszem, proszę pana, chodził mój syn czasem na zabawy do kolegów, nigdy jednak tak nie było, żeby nie wrócił.

Przyszedł dopiero trzeciego dnia. Już myślałam, że trzeba będzie zameldować milicji, ale przyszedł. Spytałam go, tak z serca: „Gdzie byłeś?". Rzucił się na mnie: „To moja sprawa. Rozumiesz? Ale skoro tak chcesz wiedzieć, to powiem, gdzie byłem. Nocowałem... a zresztą, co ciebie obchodzi gdzie nocowałem".

Przez pół roku tak było, proszę pana. Przychodził do domu, albo nie przychodził. Pieniędzy już nigdy nie dał mi w prezencie. Płakałam po kątach. Z mężem nie mówiłam na ten temat. Po co? Raz coś wspomniałam, to mnie uderzył i krzyczał tak, że aż sąsiedzi do okien zaglądali: „Zazdrość ci, że chłopak ma powodzenie u dziewcząt? Ty byś sama jeszcze poleciała za niejednym. Ja cię znam" — Tak krzyczał, proszę pana. A co on wiedział o moim życiu? Od chwili wyjścia za niego byłam przykuta do domu. Kino, przedstawienie, zabawa, to były przyjemności, których nie zaznałam w małżeństwie. Więc wszystką miłość do życia, jaka we mnie jeszcze została, przelewałam na mego syna. Mój syn, proszę pana, był przy tym, jak mnie mąż uderzył. Leżał na łóżku z oczami utkwionymi w sufit i ani drgnął.

Którejś nocy przyszła milicja. Męża nie było, pewnie gdzieś w knajpie siedział; chłopak już dwa tygodnie nie zaglądał do domu. Pokręcili się po mieszkaniu, zajrzeli do szafy. Chodziłam za nimi krok w krok, prosiłam, żebrałam: „Panowie, powiedzcie, co się stało. Co złego zrobił mój syn? Powiedzcie prawdę, jak matce".

Jeden z nich — (nie wiem czy był wyrozumiały, czy też czuły na rozpacz matki) — powiedział: „Wychowała pani niezłego gagatka. Napad zrobił z kumplami na sklep. Futra z nutrietów zachciało mu się dla jakiejś babki. To wszystko, mamusiu. Jak go znajdziemy, to zamkniemy..."

Rano przyszedł do mego syna kolega z sąsiedztwa. Powiedziałam mu, że byli milicjanci, że szukają mego syna za jakiś napad rabunkowy. Przestraszył się. Chciał szybko odejść, lecz wtedy podstępnie zamknęłam drzwi na klucz i powiedziałam: że nie wypuszczę go, aż nie powie, gdzie mam szukać syna. — Najpierw się śmiał, że ja niby żartuję; potem się złościł krzyczał, ale ja też krzyczałam: że powiem milicji, iż mój syn kolegował z nim. To była moja ostatnia szansa. Zobaczyłam w oczach tego chłopaka strach. Pod wpływem tego strachu dał mi adres jednej dziewczyny.

Pamiętam jak dziś, deszcz padał, a ja biegłam bez chustki na głowie, bez płaszcza, w łapciach po tym deszczu. Otworzyła mi dziewczyna w szlafroku. Młoda była, ładna. Zmierzyła mnie nienawistnym spojrzeniem, kiedy powiedziałam, że jestem matką jej kochanka. Kazała mi czekać na korytarzu pod drzwiami. Słyszałam jak mówiła do mego syna: „Jakieś babsko przyszło do ciebie; mówi, że jest twoją matką. Idź, sprawdź, czy nie buja".

Ach, jaki on był zagniewany, gdy mnie zobaczył. Podniósł na mnie rękę, jakby chciał mnie bić. Krzyczał: „Czego tu matka szuka". — Wtedy proszę pana, po raz pierwszy uderzyłam go w twarz. Pchnęłam go do izby i zatrzasnęłam drzwi za sobą. Rozpłakałam się. A on, czy zdał sobie sprawę z tego co narobił, - dość, że proszę pana, wziął mnie pod rękę, posadził w fotelu i pytał: „Byli po mnie?".

W tym jego pytaniu nie było słów; był potworny strach. Skinęłam głową, bo nie mogłam wydobyć z siebie głosu. Zaczął mnie błagać. Nie tę dziewkę opartą o framugę drzwi, nie tę ladacznicę z założonymi spokojnie na piersiach rękami i wyszydzającym uśmiechem na ukarminowanych ustach, nie tę kochanicę, której zawdzięczać winien swą przyszłość, a mnie błagał; mnie po rękach całował: „Mamo, ratuj".

Przyrzekłam, że będę go ratować.

Miałam w pewnym klasztorze znajomego zakonnika. Załatwiłam z nim tak, że wzięli mego syna do siebie. Wierzyłam, że zmieni się tam u nich w człowieka. Modliłam się o to gorąco I zadawało się mi, że zostałam wysłuchana. Przyszedł od syna list, w którym pisał, że ma dobrze, że księża go ubrali, że w codziennych modlitwach błaga o przebaczenie za swe grzechy i że chyba poświęci się służbie bożej.

Cieszyłam się. Jakże więc nie cieszyć się, skoro i tamta sprawa przycichła, milicjanci już nie przychodzili, a mąż jakby nie zauważał nieobecności chłopaka.

Raz tylko zjawiła się ta jego kochanica, żeby zapytać, co się z nim stało. Pokazałam jej drzwi: „O moim synu niech pani zapomni!" — Lecz to musiała być, proszę pana, bardzo zepsuta i zła kobieta; bo śmiała się i drwiła: „On do mnie wróci"!

I proszę pana, wrócił. Nie do mnie, a do niej. Nie mogę dotąd w to uwierzyć, lecz to prawda, że wrócił do niej. Dlaczego? Nie wiem. Wiem natomiast że ten jego pobyt w klasztorze był wielkim pasmem kłamstw. Jego dobroć była kłamstwem. Jego pobożność kłamstwem. Jego miłość do mnie kłamstwem. Jego nawrócenie się ze złej drogi, też kłamstwem. Oddał tej dziewce wszystko, co zabrał ze sobą z klasztoru. Jeszcze przepił z kolegami z pomyślny powrót. Nierzytomnego, po jakiejś wanturze i bójce, znaleźli go milicjanci u niej i zabrali do więzienia.

O aresztowaniu syna dowiedziałam się dopiero za parę dni. Przyszedł po mnie milicjant i zaprowadził mnie do lekarza więziennego. Bo proszę pana mój syn, udawał u nich w więzieniu umysłowo chorego. To modlił się całymi dniami, to znowu zymał się za głowę i mówił niby od rzeczy, że spadł z drzewa. Więc ten lekarz wypytywał mnie, jak matkę, czy to prawda, że on miał w dzieciństwie taki upadek.

Nie wiem, proszę pana, jak to się stało. Chyba szatan podsunął mi myśl, ale uczepiłam się jej, niby tonący deski. Kłamać. Kłamać. Ratować dziecko. Powiedziałam, że tak. Miał dziesięć lat, kiedy spadł z drzewa. Od tego czasu cierpiał na zamroczenia. W takich chwilach nie wiedział, co robi. Z czasem było coraz gorzej, ale na leczenie pieniędzy nie starało...

Syna przewieźli do zakładu dla umysłowo chorych. Mieli go tam dokładnie zbadać. W jaki sposób stamtąd uciekł, trudno mi powiedzieć. Któregoś dnia pod wieczór, przybiegł do domu w bieliźnie, bosy. Pantofle zgubił po drodze. Myślałam jak zwykle sama w domu, ojciec poszedł na karty. Gonili syna dwaj milicjanci. Próbował zabarykadować drzwi, lecz nie dał rady. Więc bronił się krzesłem. Na moich oczach powalili go na podłogę, zakuli w kajdanki.

Teraz wystaję pod bramą więzienną. Mówią ludzie, że syn dostanie 10 lat. I wszyscy mi w koło wytykają, że to moja wina, że źle go wychowałam. Strażnicy więzienni mi to mówią. Nawet ta bezczelna dziewka, która poszukała sobie innego ojca, potrafi mi powiedzieć na ulicy: „To pani zgubiła".

Ja nie mam siły się bronić. Lecz niech pan powie, czy ja, jako matka, mogłam tego chcieć?

Przepraszam pana, bo wołają 19 numer. To moja kolejka.

TADEUSZ ZEWERA.

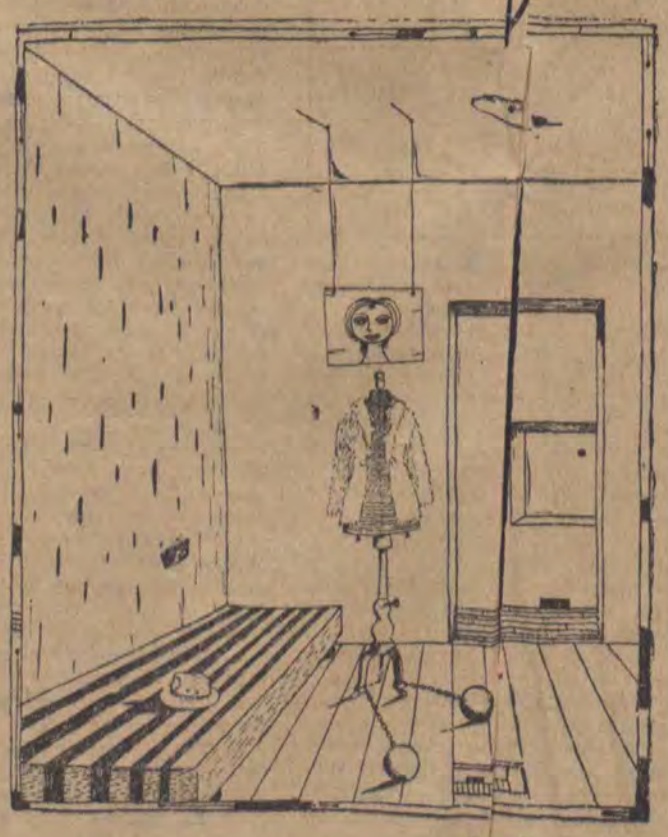

Rys. H. Poulain

WIOSNA W OKOLICACH KAPITOLU

Łodzianin, artysta-fotografik Eugeniusz Haneman bawił niedawno w Rzymie i po swym powrocie odwiedził naszą redakcję.

FOTOGRAFOWAŁ EUGENIUSZ HANEMAN (Z.P.A.F.)

Legendarna Wilczyca Kapitolińska. Symbol miasta

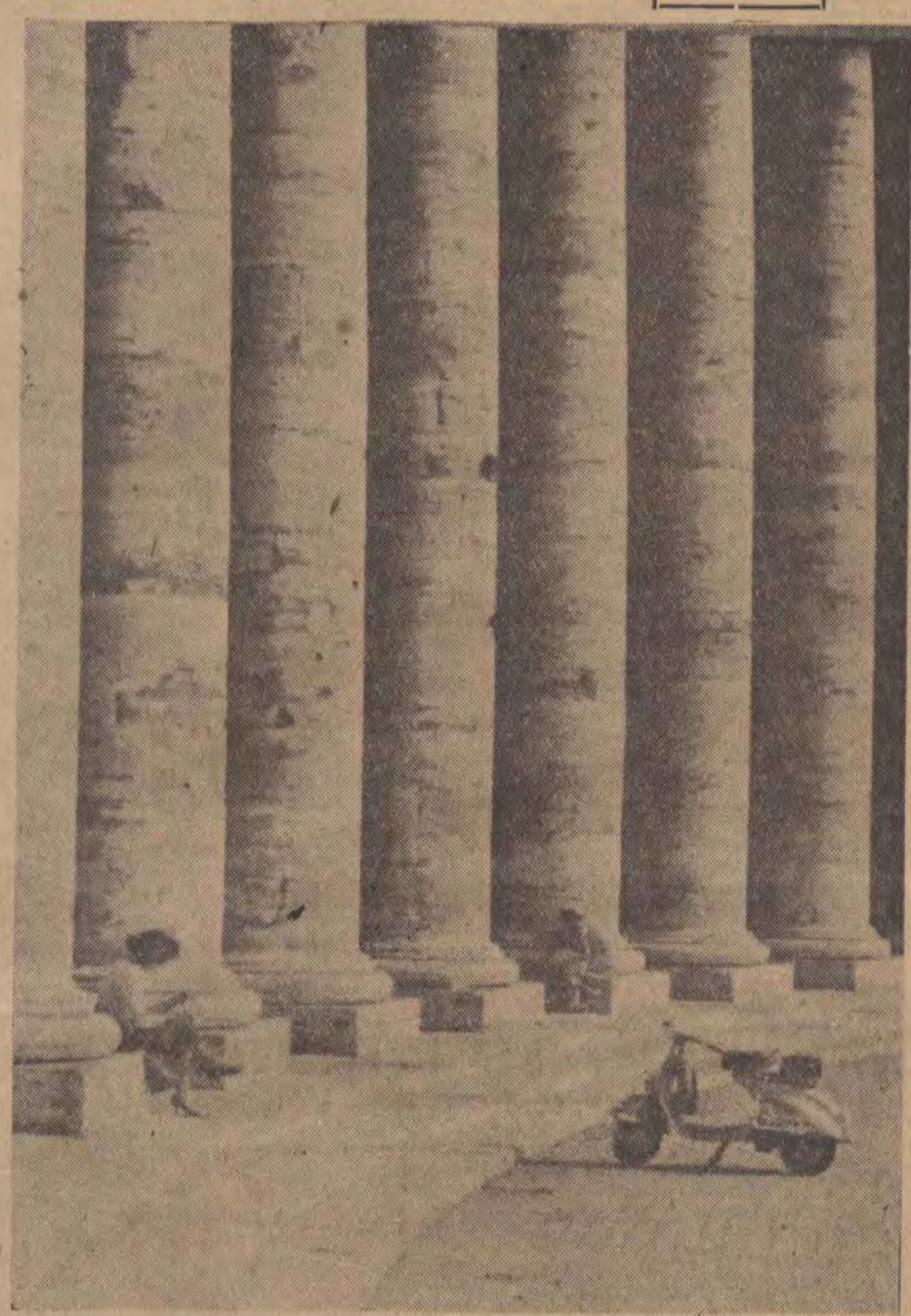

Pamiętacie film „Dziewczęta z Placu Hiszpańskiego"? Otóż Plac Hiszpański istnieje naprawdę i jak w filmie jest miejscem odpoczynku dziewcząt. Studentek, ekspedientek i... wolnych zawodów.

* * *

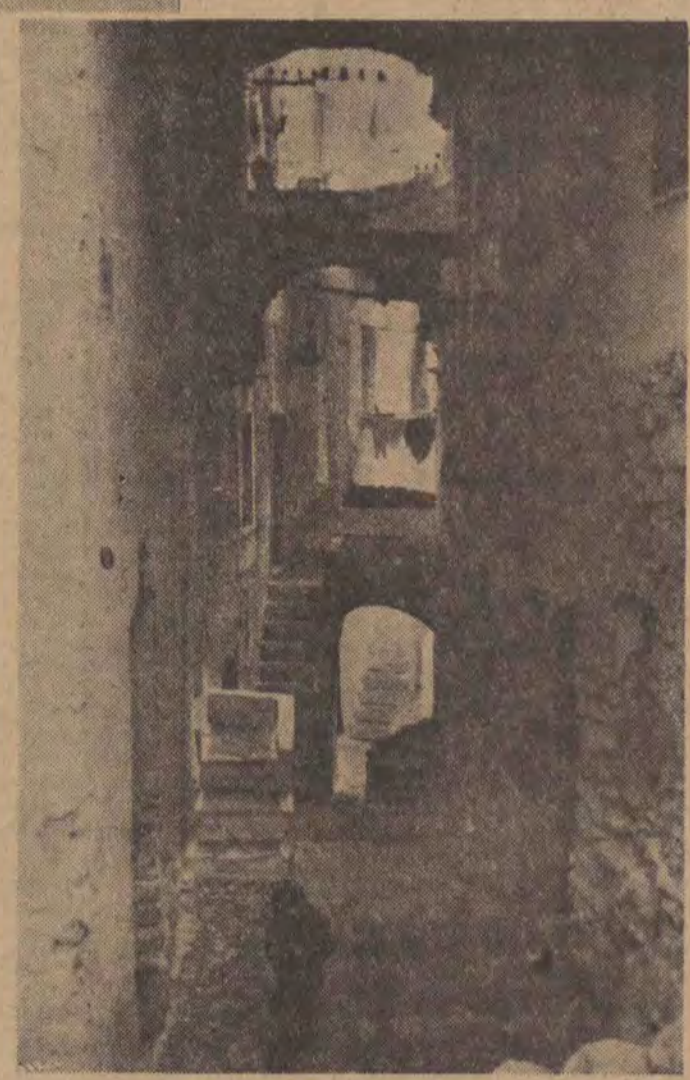

Nasi turyści, wracając z Rzymu czynią zazwyczaj uwagę, iż ładne Włoszki spotyka się jedynie w filmie... Zgodni są natomiast co do jednego. Architektura włoskich miast i miasteczek jest taka sama, jak ta, którą znamy z filmów... Na zdjęciu jedna z uliczek Sperlongi

Plac św. Piotra przed Bazyliką. Można tutaj spotkać duchownych ze wszystkich stron świata...

Monte Cassino. Klasztor, o który toczyły się walki w 1944 roku — został już całkowicie odbudowany. Na zdjęciu widać polski cmentarz, na ogół omijany przez obiektywy fotografów, produkujących pocztówki.

TRZY NAGRODY

I — 1.500 zł
(nagroda redakcji „Odgłosów")

II — 1.000 zł
(nagroda PTF Oddział w Łodzi)

III — 500 zł
(nagroda redakcji „Odgłosów")

oraz szereg nagród rzeczowych, ufundowanych przez Wydz. Kultury Prez. R.N. m. Łodzi i PTT-K, czeka na uczestników tego konkursu, ogłoszonego przez nasz Tygodnik oraz Polskie Towarzystwo Fotograficzne, Oddział w Łodzi.

Przypominamy, że regulamin konkursu opublikowany został w 4 numerze „Odgłosów". Zgodnie z p. 7 tego regulaminu SEKRETARIAT ŁÓDZKIEGO ODDZIAŁU PTF UDZIELA BLIŻSZYCH INFORMACJI I PORAD OSOBOM ZAINTERESOWANYM.

WŁADYSŁAW RYMKIEWICZ

STRASZNIE CIEKAWE, WRĘCZ NIEPRAWDOPODOBNE a przecież zawsze PRAWDZIWE ROZMAITOŚCI STAROPOLSKIE

czyli

królewicz z bajki

Ubaw był na sto dwa, proszę państwa, z tą Maryną Mniszchówną! Maryny nie należy mylić z głośną grafomanką Heleną Mniszkówną, autorką niezapomnianej „Trędowatej" i „Ordynata Michorowskiego" (a propos, oba romanse można było jeszcze do niedawna kupić w koszu na Zielonym Rynku w Łodzi po sto złotych sztuka albo wypożyczyć od prządek pewnej łódzkiej przędzalni, dosyć postrzępione, gdyż nasze dzielne i tak dalej — w braku dobrej popularnej beletrystyki, zaczyczytują się w rozrzewniających powieścidłach z życia wyższych sfer). Różnica więc między obu damami polega nie tylko na różnicy w nazwisku (tu — ch, tam — k), ale i na tym, że ta, która pisze się przez ch, była wojewodzianką, córką pana wojewody Jerzego Mniszcha, ex-dworzanina króla Zygmunta Augusta, któremu tenże Mniszech z nadgorliwości (jakbyśmy dziś powiedzieli), ażeby król się nie nudził, podsuwał różne — jak wówczas mawiano — „sokolice", „kukułki", „skortizanki" i tym podobne swawolne damy (na określenie których my dziś posiadamy jedno krótkie, lecz dosadne słowo), i który (Mniszech) zbogacił się wykradając spod głowy umierającego w Knyszynie Zygmunta Augusta, skrzynkę z klejnotami i kosztowne szaty ograbiając swego monarchę do czysta, tak, że ksiądz biskup Krasiński, który zmarłego króla na śmierć dysponował, musiał mu kupić za własne pieniądze całun i szaty pogrzebowe, bo nie było w co ubrać na mary ostatniego Jagiellona! (Uff, jakie długie zdanie, jak w powieściach historycznych Teodora Parnickiego!).

Był to więc lepszy gość (jakbyśmy dziś powiedzieli!) ten tatuś panny Maryny! Ale do rzeczy! Ktokolwiek będziesz... Nie, nie „w nowogrodzkiej stronie" u Płużyn ciemnego boru (Mickiewicz), tylko w najpiękniejszym mieście Polski, jej starodawnej stolicy w czasie Dni Krakowa... Zechciej, proszę, zatrzymać się chwilę na Rynku i zapytać o trzy sąsiadujące ze sobą kamienice (na tej samej linii co kościół Panny Maryi), które w XVII wieku należały do wojewody Mniszcha, Włocha Montelupiego (Wilczogórskim z polska zwanego) i wojewody Firleja.

Któż by przypuszczał, że Krakowianie już w XVII wieku, mieli tyle fantazji i zgoła nowoczesnego (w dzisiejszym rozumieniu) rozmachu? Bo proszę sobie wyobrazić, że muratorzy królewskiego stołecznego miasta ni mniej ni więcej tylko przebili ściany sąsiadujących ze sobą trzech wspomnianych kamienic i z paru komnat na pierwszym piętrze, utworzyli jedną długą salę-kaplicę, w której odbyły się zaślubiny Maryny Mniszchówny, córki wojewody sandomierskiego, z carem moskiewskim Dymitrem Samozwańcem. Ceremonia odbyła się per procuram, to znaczy, car nie przybył osobiście, lecz przysłał specjalnie upełnomocnionego kanclerza, bojara Atanazego Własiewa, ze świtą trzystu dumnych bojarów, reprezentującego carską osobę. Działo się to 21 listopada 1605 roku. Panna Maryna miała wówczas 17 lub 18 lat. Przekazy historyczne o wychowaniu ówczesnych panien w domach szlacheckich, są nader skąpe. Późniejsze wiadomości (korespondencja z ojcem) przekonywują nas, że jednak umiała czytać i pisać (to wiele jak na umiejętności siedemnastowiecznej panny!). Znała też zasady religii i od dzieciństwa przysłuchiwała się rozmowom o świetności starodawnego rodu Mniszchów. W dawnych wiekach ludzie pasjonowali się sprawami genealogii (czyli — kto kogo spłodził i rodził) tak, jak my dzisiaj — Wyścigiem Pokoju, Tabelą Pierwszej Ligi albo Totkiem-Lotkiem. Panował pogląd, że szlachta jest nosicielką-spadkobierczynią cnót obywatelskich dawnych Rzymian, mówiono o Rzymianach... znad Wisły, duma szlachty, jej poczucie obywatelstwa wywodziły się ze źródeł rzymskich, w Rzeczypospolitej widziano najdoskonalszą formę rządów

Te opowiadania oraz świetne zamążpójście starszej siostry Orszuli za kniazia Wiśniowieckiego przewróciły pannie Marynie w głowie. Ona też, z natury bardzo ambitna, chciała być co najmniej księżną! Zresztą, któraż z młodych dziewcząt jeszcze dziś nie marzy o królewiczu z bajki?

A więc, grunt, można powiedzieć, był przygotowany.

Muszę się teraz jednak cofnąć i opowiedzieć, jak doszło do ślubu! Pan wojewoda Mniszech miał lekkiego „hysia" na punkcie reprezentacji, i zamiast płacić tenutę, pchał wszystkie dochody z dzierżawionej ekonomii królewskiej w Samborze na przyozdobienie znajdującego się tam zamku. Oburzony król Zygmunt III Waza, denerwował się, że pan Mniszech nie wywiązuje się z zobowiązań i upominał się o pieniążki. Sytuacja rozrzutnego wojewody pogarszała się z roku na rok, Toteż, gdy u zięcia w Załoźcach (księcia Konstantego Wiśniowieckiego ożenionego, jak wyżej, ze starszą Mniszchówną, Orszulą), pojawił się rzekomy syn cara Iwana Groźnego, kniaź Dymitr zwany Samozwańcem (w jaki sposób doszedł do władzy, opiszę w jednym z dalszych felietonów) pan wojewoda Mniszech, dał się złapać na lep obietnic kniazia i deklarował się z daleko idącą pomocą polityczną i wojskową (hufce dworskie magnatów!).

A co obiecywał młody, podający się za potomka Rurykowiczów Moskwicin?... Obiecywał, że po wstąpieniu na tron na Kremlu odda we władanie przyszłego teścia 14 zamków w Siewierszczyźnie i wypłaci milion złotych polskich na spłacenie długów i opędzenie kosztów podróży swej przyszłej małżonki do Moskwy. Maryna zaś miała otrzymać ze skarbu carskiego wiele „srebra stołowego i klejnotów co najprzedniejszych", a jako wiano pod przyszłego męża — Psków i Wielki Nowogród z prawem zupełniej wolności rządzenia w obydwóch księstwach.

Jak widać z powyższego, tajemniczy młodzieniec (bowiem do dziś nie wiemy, był czy nie był potomkiem Rurykowiczów) miał gest, szeroką rękę i znał się na rzeczy! Ale bo też i panna była urodziwa jak skawińska wiśnia (tak mawiali nasi przodkowie). Znamy jej dwa portrety, jeden — w Ermitażu w Leningradzie, drugi — w Muzeum Historycznym w Moskwie. Malarze przedstawiają nam wojewodziankę sandomierską w stroju koronacyjnym, obwieszoną złotymi łańcuchami, z diademem na głowie i w wielkiej kryzie hiszpańskiej (rurkowanym kołnierzu).

Panna miała duże rozumne oczy, a rysy twarzy znamionowała duma i stanowczość. Była niskiego wzrostu. W czasie buntu na Kremlu (po jej przyjeździe po ślubie do Moskwy) i wtargnięciu spiskowców do komnat carowa Maryna schowała się... pod kloszową spódnicę z obręczami swej ochmistrzyni, pani Kazanowskiej (vide mój felieton „Suknia z obręczami" w nr 10 „Odgłosów" z 1 maja br.). Pozwoliło jej to na uniknięcie skutków pierwszej furii rozwścieczonych zamachowców. Pyszna z niej była niewiasta!

Niestety, przekroczyłem już granice wyznaczonego mi przez Redakcję, miejsca na felieton, a teraz właśnie zaczyna się najciekawsza historia! Wobec tego, uzbrójcie się, Szanowni Czytelnicy, w cierpliwość! Do usłyszenia za tydzień! Ciąg dalszy nastąpi.

Złodzieje spłoszeni u zegarmistrza przy ulicy Średniej.

Na ulicy Dzielnej napad na handlarkę owoców.

Kradzież przy ulicy Cegielnianej.

Kradzież przy ulicy Krótkiej.

Na ulicy Dzikiej schwytano rzezimieszka, gdy z wytrychem dobierał się do mieszkania. „Był to elegant w binoklach".

Napad przy ul. Nawrot na dorożkę z towarem.

Napad na dwie robotnice — róg Zawadzkiej i Długiej.

„Małżonków X powracających tymi dniami ze spaceru, napadło kilku drabów, przy ulicy Andrzeja. Jeden z nich wymierzył kobiecie silne uderzenie pięścią w plecy, poczem napastnicy przyjęli postawę tak wyzywającą, że napadnięci uważali za stosowne czym prędzej schronić się w miejsce bezpieczne".

Na plantacjach przy ulicy Spacerowej (Promenada) uderzenie nożem w plecy kobiety spacerującej w towarzystwie. Bez żadnej przyczyny.

HELENA DUNINÓWNA

DŻUNGLA

Wiosenne spacery po łódzkich ulicach, przechadzki o wczesnym zmierzchu w cieniu drzew na Promenadzie, przyjemny odpoczynek na ustawionych tam świeżo ławkach, wycieczki do lasów miejskich, w obrębie miasta leżących — nie zawsze jednak kończyły się przed laty siedemdziesięciu dla mieszkańców Łodzi przyjemnie.

I wcale, twierdząc tak, nie opieramy się na plotkach! Dość przejrzeć uważnie „Dziennik Łódzki" z tej doby, choćby na przestrzeni kilku tylko tygodni — a włosy mogą dęba stanąć człowiekowi na głowie. Oto plon uwagi przy przeglądaniu „Dziennika Łódzkiego" z r. 1886 w miesiącach od lutego do maja, który upoważnił mnie do powyższego twierdzenia.

Na ul. Franciszkańskiej napad na jadącego doktora.

Róg ulicy Przejazd — krwawa bójka.

Ocalił je pies przypadkowego przechodnia.

Złodzieje przy ulicy Wólczańskiej.

Napad przy ulicy Piotrkowskiej.

Kradzież przy rogu ulic Piotrkowskiej i Południowej.

Kradzież przy ulicy Kamiennej.

Kradzież na Wólce.

W lasku miejskim awanturnicy zaczepiają spacerujących.

Napady na Bałutach.

Okradzenie kościoła ewangelickiego przy Nowym Rynku.

Okradzenie restauracji w hotelu „Oiefona".

Napadnięty przechodzień przy ulicy Spacerowej.

Napady na Zagajniku.

Banda łotrowska napada

nad KOMINOGRODEM

GRZEGORZ TIMOFIEJEW

Na początku był wiersz. Z niego poczęła się nasza przyjaźń.

Mariana poznałem w bursie. W pamięci utkwił mi obraz chłopca zamyślonego ponad swój wiek i, zdaje się, bardzo samotnego. Bodaj w V klasie Marian zdobył pierwszą nagrodę w konkursie poetyckim. Poemat „Credo" kładł podwaliny pod twórczość, w której zawsze chodziło o niepowtarzalne wyznanie.

Zośka! Gdy szedł, ruchy ciała współgrały ze sobą i postać płynęła jakby kobiecо. Dość, że koledzy ochrzcili Kazimierza Sowińskiego „Zośką". Sławę dał mu utwór, który po dziś dzień pamiętam: „Mój ojciec ma ręce czarne pełne oliwy i smaru. Ucho napełnione gwarem sal dymnych i parnych".

Skrzydeł poetyckich próbował Rafał Len (Lichtensztajn). Ale któregoś dnia spostrzegł, że nie do twarzy mu z zachwytami „pod Wierzyńskiego" i przerzucił się na prozę. Łatwych triumfów nie miał. Pisał ciężko, lecz upór wytrwałości dopomógł mu wydać później kilka książek, m. in. „Młodość za kratą" i „Ludzie na schodach",

Od rewolucyjnych przemówień na golasa w miejskiej łaźni, do której chodziliśmy klasami, zaczął swą karierę Władek. Każdy wiedział, że Władek jest najmocniejszy „w gębie" i żaden oponent nie uratuje się w dyskusji. Cechowały go błyskotliwość, inteligencja, pasja lektury i niebywała zdolność w rozgryzaniu najbardziej twardych problemów. Nikt lepiej od niego nie potrafił rozprawiać czy słowo jest czynu testamentem (nakazuje czyn) czy też wedle Norwida słowo zostało przez czyn zapowiedziane, zlecone...

I wreszcie — ja. Stopami nurzałem się w rudopabianickich łąkach, głowę zaś miałem w romantycznych chmurach...

Tylu nas było. Pięciu! O, to już wystarczy na podbój świata.

Zaczęło się wszystko pewnego majowego poranka. Przy Kole Naukowym w Gimnazjum im. J. Piłsudskiego w Łodzi, do którego wszyscy uczęszczaliśmy, istniała sekcja literacko-artystyczna, Wnieśliśmy do niej niepokój własnych poszukiwań. Profesorów mieliśmy wspaniałych, ale jak długo można dulczyć nad wierszem „O szyby deszcz dzwoni, deszcz dzwoni jesienny"? Olśnieni i rozentuzjazmowani odkryliśmy naraz, że jedynym językiem poezji jest krzyk ulicy, pomruk buntu i rewolucji.

Założyliśmy „almanach literacki". Osobliwością tego pisma, nie wiem czemu nie dostrzeżonego przez krytykę, było to, że ukazywało się ono w nakładzie jednego egzemplarza i cierpliwi koledzy mogli przeczytać je w szkolnej czytelni. „Almanach" był pisany i przyozdabiany ręcznie z pieczołowitością średniowiecznych mnichów. Czwarty i piąty numer odbiliśmy już na powielaczu. Ofiarą naszej zaradności padło przede wszystkim nauczycielstwo, jako że całą zgrają staliśmy przy drzwiach nauczycielskiego pokoju i każdy wychowawca musiał pismo kupić.

Niepostrzeżenie zbliżyła się matura. Ale wiek dojrzały nie umitygował nas. Nabraliśmy większej pewności, że jesteśmy nosicielami wyższej poetyckiej prawdy. Jakiej? O, to właśnie trzeba było światu w piśmie obwieścić. Wyruszaliśmy, jak Kolumb na odkrycie nowych lądów. Komuż, jak nie nam kometami po niebie szastać? Więc nazwaliśmy pismo „Meteor". Tytuł w sam raz.

Redaktorem został Wacław Wagner, późniejszy dziennikarz i dyrektor łódzkiego oddziału Polskiej Agencji Telegraficznej, a wydawcą Bolesław Kaczorowski, człowiek uczynny, miłośnik naszych wierszy i syn (to ważne) forsiatego taty.

Pierwszy numer „Meteora" ukazał się trzydzieści lat temu i przyjętym zwyczajem zawierał tzw. „manifest poetycki". Czytamy w nim:

„Pragniemy być wyrazicielami czasu, wyrosnąć z całej kulturalnie świadomej historii, skąd czerpiemy moc do nowych przekształceń i nowych walk. Ale każdy problem istniał dla nas będzie o tyle, o ile będzie wczarowany i wcielony w odpowiedni wyraz artystyczny..."

„Manifest" nakazywał z całą stanowczością naszych młodych lat:

„Niechaj rozpięte anteny waszych nerwów przyjmą każdy dźwięk natchnionego słowa! Otwórzcie zaryglowane okiennice waszych powiek na światło prawdziwej poezji, poezji „o szerokim

W ŁODZI

dziewczęta i kobiety, udające się na przechadzkę w parku miejskim.

„Poraniono małżonka idącego z żoną'.

Państwo B. jechali dorożką z Wólki na Widzew. Zostali napadnięci. Jeden z napastników przytrzymał konia, pozostali wpadli do dorożki i zaczęli bić jadących. „Napastnicy byli ze sfery inteligenckiej" — dodaje reporter.

Zbrodnia około parku Kwela. Znaleziono zwłoki dziecka rankiem „jeszcze ciepłe"...

I...

„Zginęła dziewczynka, Marianna Krasińska, lat 7".

A potem — naprawdę tragiczne: i

„Nieletni opój, lat 12, na Nowym Rynku...".

„Rzezimieszek-złodziej — 12 lat — schwytany...".

W cukierniach i restauracjach giną palta. „Dziennik" daje tym razem trochę żartobliwe ostrzeżenie:

„Baczność! Poszukiwane są po cukierniach i restauracjach paletoty wiosenne w dobrym stanie... W tych dniach przeszło ich kilka w ręce sprawnych rzezimieszków...".

Jakieś łobuzy uwzięły się na dorożki: rozcinają nożem ich skórzane pokrycia; inni znów grasują po lasku miejskim: niszczą go i tratują. W Zagajniku złowiono całą szajkę wycinających drzewa.

Więcej jeszcze: któregoś dnia w maju odbyła się „obława w lesie miejskim „Zagajnik" przy pomocy kozaków i strażników konnych i pieszych na awanturników". Aresztowano dwudziestu dwóch za „przestępstwa przeciwko czci niewieściej"...

Wiadomo, że „indywidua podejrzane zbierają się gromadnie w szynku na rogu Dzikiej i Kolejowej" i że „wieczorem komunikacja w tamtej okolicy nie należy do bezpiecznych..." — słabo jednak jakoś reagują na to władze miejskie i bezkarność szerzy się w sposób wprost zastraszający.

Nic też dziwnego, że przedsiębierze się środki ostrożności w samym nawet sercu miasta. Najnowszym osiągnięciem urbanistyki Łodzi ma być „pasaż" pomiędzy posiadłościami pana Meyera łączący ulicę Piotrkowską i Dziką, który — „będzie już w lecie wykonany. Wyłożony ma być brukiem kostkowym"... Ze względów ostrożności na noc będzie jednak zamykany „a we dnie tylko pozostawiany do użytku publiczności. Przy obu wejściach, od ulic Dzikiej i Piotrkowskiej, ustawieni będą stróże nocni dla bezpieczeństwa mieszkańców pasażu...".

Przestępczość Łodzi w okresie, o którym mówimy, nie jest dla miasta ani czymś nowym ani nieoczekiwanym; korzeniami swymi tkwi pewno jeszcze w psychice XVII wieku. Przecież jeszcze przed kilkunastu laty — rok 1886 pamięta to doskonale — u progu lat osiemdziesiątych, nie można było w Łodzi wyjść samotnie wieczorem na ulicę! Miasto pogrążone było jeszcze w zupełnych mrokach. Niebezpieczne wyrwy na ulicach, głębokie na łokieć koleiny na jezdniach, zdradliwe zasadzki przelewających się brudną wodą rynsztoków i niedbałych mostków przerzucanych nad licznymi rowami — już same w sobie stanowiły dla przechodnia prawdziwe niebezpieczeństwo. Napady rabunkowe, kiedy nadchodził wieczór, uniemożliwiały do reszty normalną cyrkulację po mieście.

W razie potrzeby wieczornego wyjścia zbierano się w całą gromadę, by iść razem, oświetlając sobie drogę latarnią...

Jest już więc od tamtych czasów pewien postęp i nie należy tracić nadziei, że to zło Łódź trapiące, zostanie z czasem usunięte.

Ilustrował: Tadeusz Kokietek

Mówiąc po prostu, cóż może być warta miłość za trzy grosze? Nic. Bo za trzy grosze niczego już dzisiaj nikt nie kupi. Prócz jedynie tej właśnie miłości. I to jest, mówiąc po prostu, miarą naszego upadku obyczajowego pod tym względem. A wzgląd ten to nie lada wzgląd, bo świadczący o zachwianiu się nie tylko fizycznej, ale i przede wszystkim moralnej równowagi w pragmatyce stosunków, że tak powiem, antywzajemnych naszego społeczeństwa, a zwłaszcza młodzieży.

Ale czy tylko młodzieży? My, stare i cyniczne dranie, zbyt łatwo wszystko najgorsze spychamy na tę nieszczęsną młodzież. To świadczy o naszym złym samopoczuciu, o naszym nieczystym sumieniu. Mówiąc po prostu, jest to perfidne odwracanie uwagi od siebie, jako przede wszystkim pierwszego źródła zła. Albowiem jaka mać, taka nać — jaki ojczulek, taki synulek. Czytamy niekiedy w gazetach nie tylko o młodych chłopcach rozpruwających żyletkami brzuchy swoich zbyt łatwych koleżanek, których mają dość, ale bardzo często o starych bestialskich knurach, które napłodziwszy po pijanemu kupę dzieci z jedną nieszczęsną, że tak powiem, naiwną, biegną za drugą jeszcze naiwniejszą. Uwalniając się od tej pierwszej i spłodzonego z nią potomstwa, za pomocą mówiąc po prostu, siekiery. Czytaliśmy niedawno w pismach o jednym takim (z okolic Łodzi), który kilkanaście lat przeżył przykładnie w stadle małżeńskim, aż wreszcie nie wytrzymał i nagle pod wpływem nowo ujrzanej spódnicy uczynił z domu istną rzeźnię, a z otaczającego dom cichego ogródka makabryczny, tajny cmentarz rodzinny.

Widzimy więc do jakich tu straszliwych rezultatów doprowadza ta dzisiejsza iście bezcenna, bo pozornie bez ceny, miłość za trzy grosze. Ale jeśli obliczyć ilość nieszczęścia ludzkiego, jaką ona sprowadza, to trzeba ją szacować na co najmniej miliony. Tak, że do tych trzech groszy, za które ten i ów kupuje sobie zbyt łatwą miłość, trzeba dodać także te dodatkowe, jakże często nieuniknione miliony jako tragiczny domiar podatkowy za tę łatwość.

Czy to się opłaci? Biorąc na rozsądek oczywiście, że nie. Ale któż kiedy widział rozsądek w miłości? O wiele częściej widzimy w niej głupotę i szał. A to jest właśnie nieszczęście. Bo właśnie o trwałości uczucia decyduje, jak to wykazują liczne doświadczenia, rozsądek. Ileż to bowiem niejedna (i niejeden) traci w miłości przez własną głupotę. Odmawia temu, któremu nie powinna a nie odmawia temu, któremu właśnie powinna była odmówić. Ale błogość uczucia miłosnego polega podobno na jego beztroskiej głupocie. Dotyczy to jednak bardziej mężczyzn niż kobiet. Tak przynajmniej powinno być. Głupota w miłości więcej bowiem zawsze sprowadza nieszczęścia na partnerkę, niż na jej adoratora. Bogini sprawiedliwości ma oczy zawiązane i jest ślepa, to prawda, ale bogini miłości, boska Wenus, nie jest bez głowy — czyli nie traci rozumu pod wpływem miłości. Ważny to przykład i modus amandi dla kobiet.

Zresztą literatura światowa potwierdza tę dziwną regułę, a mianowicie, że mężczyzna najczęściej traci, a kobieta zyskuje na rozsądku i rozumie pod wpływem miłości. Oczywiście nie pod wpływem miłości za trzy grosze, ale pod wpływem miłości prawdziwej, wielkiej, głębokiej, dla której człowiek gotów jest ryzykować nie cudze, lecz właśnie własne swoje życie, jak to widzimy na przykładzie Antygony Sofoklesa, Ofelii, Julii czy też Desdemony Szekspira, Grażyny i Aldony Mickiewicza, Ewy Pobratyńskiej Żeromskiego, albo Lady ze „Zwycięstwa" Conrada. W dramatach Bernarda Shawa, zawsze kobieta góruje w miłości rozumem nad mężczyzną. On traci resztki rozsądku w miarę wzrastającego uczucia, a właściwie namiętności, a ona przeciwnie — ona go zyskuje. Tak jest na przykład w „Mężu przeznaczenia", gdzie zwykła kokietka robi z Napoleona ogarniętego nagłą ku niej namiętnością idiotę, tak samo w „Cezarze i Kleopatrze", gdzie 14-letnia Kleopatra wodzi roznamiętnionym ku niej starym i łysym Juliuszem Cezarem, jak torreador bykiem po arenie.

I tu dobrnęliśmy wreszcie do sedna rzeczy, z którego niezbicie wynika, że jeżeli miłość jest tylko namiętnością, to łączy się z głupotą i jest akurat tyle warta, co trzy grosze, ale jeżeli miłość jest głębokim uczuciem, to łączy się z rozsądkiem i rozumem, i jest skarbem bez ceny, skarbem, za który nawet niektórzy zakochani oddają życie — oczywiście własne, a nie cudze. Tak właśnie pojęte uczucie stanowi ową prawdziwą m e l o d i e d'a m o u r, która wydobywa z nas zamiast szału i głupoty — instynktowny rozsądek i rozum.

Kiedyś w parku byłem mimowolnym świadkiem następującej wymiany zdań dwóch zuchowatych młodziaków, siedzących obok mnie na tej samej ławce:

— No powiedz, knypku, kiedyś taki hojrak, co robić żeby dziecka nie zrobić?

— Nie robić! — odpowiedział, splunąwszy przed siebie, hojrak.

Sądzę, że tylko w pobliżu tej najniższej granicy uczucia czyli, mówiąc po prostu, w miłości za trzy grosze problem ten jest ważny i aktualny. Natomiast w pobliżu górnej granicy uczucia czyli, mówiąc po prostu, tam, gdzie nie szał i głupota tylko rozsądek i rozum wyzwalane są przez wzajemne ku sobie skłonności — tam problem ten przestaje być problemem.

Poeci łodzianie w r. 1928. Od lewej ku prawej: G. Timofiejew, M. Braun, J. Tuwim, M. Piechal, Św. Karpiński, K. Sowiński.

oddechu", na której horyzoncie jawi się oto, jako jedna z Jej pierwszych zarankowych gwiazd — konstruktywny metaforyzm".

A więc nowa grupa poetycka miała swój program: konstruktywny metaforyzm! (Widzenie świata, poprzez łańcuch skojarzeniowych obrazów).

Ki diabeł? Tuwim nie radził sobie z tą zawiłą teorią, ale synów pobłogosławił. Leśmian uważał, że trzeba przedstawić pojęcia: metaforyczny konstruktywizm (w ten sposób teoria „zwiecznieje"!). Pelper chwalił. Zaryglowane okiennice waszych powiek? To dobre!

Ludzie kiwali z uznaniem głowami, a kto nie rozumiał milczał, nie chcąc uchodzić za głupca (zupełnie jak dziś z nowoczesną poezją).

Tym bardziej, że „hymn meteorytów" kończył się triumfalnymi fanfarami:

Nasze jeszcze przed grobem
otrąbią zwycięstwo
I nasze poza grobem echo
będzie brzmieć.

Do rozwijania „programu" zabrał się Władek. Wtedy trwały zażarte spory na temat, czym jest poezja proletariacka.

Władek pisał: „poezja proletariacka chce być słowem w ustach proletariatu... przyśpieszyć koniec kultury burżuazyjnej i kłaść fundamenty nowej. Walka toczy się o świadomość kulturalną".

W trzecim numerze „Meteora" Władek krytykował postawę społeczną „Skamandra". „Nie znajdziemy bodaj jednego utworu, który by odkrył istotne przemiany naszego czasu".

W „Meteorze" drukowali się: Władysław Bieńkowski, Mila Elin, Stefan Flakowski, Tadeusz Horzelski, Światopełk Karpiński (debiut!), Roman Kołoniecki, Lucjan Korzeniowski, Jan Ostaszewski, Marian Piechal, Włodzimierz Słobodnik, Kazimierz Sowiński i Grzegorz Timofiejew.

Nazwiska nie równej miary i nie wszystkie dziś „żywe", ale skupienie przez „Meteor" tak licznych piór świadczy o silnym oddziaływaniu grupy. „Szalony Julek" patronował nam, ale i pani Zofia (Nałkowska) udzielała młodym poetom poparcia.

Na trzecim numerze „Meteor" zgasł, ale grupa istniała dalej, mniej więcej do roku 1930. Uprawiała żywą działalność poetycką i poetycko - publicystyczną (postulując poezję społeczną o nowoczesnej wyobraźni), redagowała dodatek literacki przy „Głosie Porannym", urządzała „mitingi poetyckie" (tak się wtedy określało wieczory poezji) oraz imprezy, upowszechniające literaturę.

„Poranki Norwida" z prelekcjami Wilama Horzycy i niezrównaną recytacją Aleksandra Węglerki, odczyty o Żeromskim, dyskusja na temat współczesnej poezji itp. uczyły obcowania ze sztuką.

„Wieczory pisarzy łódzkich" przypominały dorobek łódzki „od zarania", inicjowały akcję badania i popularyzowania literatury łódzkiej.

Do chmurnego życia przemysłowo - robotniczej Łodzi grupa „Meteor" wniosła zainteresowania artystyczne i miłość poezji.

Ostatni etap „meteorytów" własne książki. „Krzyk z miasta" (Mariana), „Gwiazdy na strychu" (Kazika), „Ludzie wśród ludzi" (Świątka) i „Nie ma mnie w domu" (Grzegorza). Tu koniec grupy. Było nam już za ciasno razem. Każdy poszedł własną drogą, szczęśliwą czy mniej fortunną, ale własną.

„Meteor" przeleciał nad Łodzią. Zostawił jednak trochę (a może nawet wiele) blasku. Nam dał przekonanie, że droga do prawdy wiedzie poprzez życie i zawarte w nim konflikty.

ż

KOMUNIKAT

Przypominamy, że z dniem dzisiejszym tj. 15 bm. mija termin wysyłania bądź składania kuponów naszego II Konkursu pt. „Ogród miłości". Prawidłowe rozwiązanie zadań podamy w najbliższym numerze „Odgłosów". Wyniki losowania nagród w numerze 15.

REDAKCJA

Spór o Odrę czy... o Polskę i Europę?

Dokończenie ze str. 2

Ziem Zachodnich w organizm państwowy Polski. Takie czynniki jak poczucie jakiejś tymczasowości wynikającej z wciąż napiętej sytuacji międzynarodowej, zniszczenia i ruchy ludnościowe, nędza dźwigającego się z ruin kraju, któremu często nie starczało złotówek nawet na to, by zabezpieczyć niszczejące mienie, wyjaśniają niejedno. A brak kadr fachowych, o których losie wiedzą w pewnej mierze hitlerowscy oprawcy. Wielu obiektów nie odbudowaliśmy na Ziemiach Zachodnich. Nam nie chodziło jednak o to, by odbudować wszystko, co zbudowali ongiś Niemcy. Byliśmy zainteresowani przede wszystkim odbudową tego, co jest najbardziej potrzebne w polskim organizmie ekonomicznym. A że są jeszcze ruiny na tych ziemiach? Warto tu przypomnieć niektórym rewizjonistom, iż nam na odbudowę naszych ruin nie dano 10 miliardów dolarów, które dano Niemieckiej Republice Federalnej.

* * *

Naiwnością byłoby sądzić, iż między nami a rewizjonizmem zachodnio-niemieckim toczy się spór jedynie o Ziemie Zachodnie, o 100 tysięcy kilometrów kwadratowych. Ten, kto tak myśli, nie zna logiki niemieckiego imperializmu. Imperializmu mądrego, którego krwiożerczości nie jest w stanie jednak ukryć żadna przesłona. Warto się uczyć historii, historyczne analogie są pouczające. Niemiecka polityka wschodnia w zależności od etapu, od warunków, od siły niemieckiego imperializmu sięga raz po Wartę, raz po Bug, raz po Ural, a raz po Ocean Spokojny. Przed wojną Niemcy mówili o swym prawie do Górnego Śląska i Pomorza, a Wrocławski Instytut Wschodni opracował plany działania dla niemieckiego imperializmu aż po Ural. I dziś boński dygnitarz Hallstein mówi o Uralu.

Naruszenie status quo nad Odrą i Nysą stanowiłoby pierwszy etap, ale nie ostatni. Tacy Niemcy umieją bowiem deptać po piętach słabszym i ustępującym pod ich naciskiem.

Na szczęście spór o Odrę nie toczy się jedynie między nami a zachodnimi Niemcami. Popiera nas Niemiecka Republika Demokratyczna, państwo niemieckie uznające granicę na Odrze i Nysie.

Prawa do tych ziem broni wraz z Polską cała słowiańszczyzna i to nie tylko moralno-politycznie. Broni nas Pakt Warszawski. Siła tego paktu, jednolite stanowisko państw naszego obozu w sprawach granicy na Odrze i Nysie stanowi o tym, iż granicy tej bez narażenia świata na kataklizm trzeciej wojny światowej naruszyć nie można.

JÓZEF LEBENBAUM

odgłosy str. 8

GOLONO — STRZYŻONO ★ GOLONO — STRZYŻONO

KURTUAZJA

Wuj obecnej królowej angielskiej, książę Windsoru Edward, który od 20 stycznia do 11 grudnia 1936 był królem Anglii, zrzekł się, w związku z reformą armii i przyłączeniem trzech regimentów księcia do innych oddziałów, tytułu honorowego pułkownika. Honorowym pułkownikiem reorganizowanych jednostek został mąż królowej, książę Filip.

NIEZWYKŁA AUKCJA

Sensacją dla kolekcjonerów stanie się niewątpliwie wiosenna aukcja firmy J. A. Slargerdta w Marburgu (NRF). Znajduje się na niej 17 listów i 13 pocztówek pisarza Franza Kafki, oszacowanych na blisko 1000 dolarów. Listy i pocztówki te pisał Kafka w latach 1908—23 do swego przyjaciela, pisarza Oskara Bauma. Poza tym na aukcji znajduje się m. in. jeden z rękopisów Stefana Zweiga, Zygmunta Freyda, list Schopenhauera, autografy Karola Marksa, Napoleona I, Bismarcka, Leibnitza i założyciela milionerskiej rodziny Asterów, handlarza skórami Johna Astera.

NIEMIECKA SOLIDNOŚĆ

W „Die Rheinpfalz" z 6 marca ukazało się następujące ogłoszenie: „Osobie, która w nocy na niedzielę, 1 marca 1958, rozbiwszy szybę wystawową skradła męskie i damskie zegarki na rękę, zaleca się odebrać u nas dowody gwarancyjne oraz ozdobne etuis, ażeby zegarki mogły być przynajmniej w porządku przekazane dalej. Firma zegarmistrzowska Lutz, Frankfurthal.

ŻĄDANIE STUDENTEK

Studentki z pewnego domu akademickiego w Sydney wezwały jednomyślnie kucharza, aby w soboty nie przygotowywał żadnych potraw z dodatkiem czosnku. Powód: tego dnia wychodzimy na miasto!

WIELOŻENSTWO WE WŁOSZECH

Policja Neapolu jest poważnie zaniepokojona wynikami niedawnego spisu ludności w tym mieście. Wykazał on bowiem, iż Neapol zamieszkuje 181.885 żonatych mężczyzn, natomiast aż 184.508 zamężnych kobiet.

REKLAMA

Prefekt policji w Rzymie, zabronił kupcowi nazwiskiem Zoli wywieszenie tabliczki z napisem: „Sprzedaż za pół darmo ze względu na koniec sezonu". Posunięcie policji podyktowane było naturalnie tym, że kupiec nosił to samo nazwisko co obecny premier włoski. Premier jednak, dowiedziawszy się o posunięciu prefektury, polecił uchylić zakaz i stwierdził, że jego imiennik robi mu dobrą reklamę przed wyborami.

BISKUP PROTESTUJE

Biskup Lourdes wystąpił z ostrą krytyką przeciw rozlicznym przedsiębiorstwom działającym na terenie miasta. Potępił on butelkowanie i sprzedawanie wody pochodzącej ze źródła w grocie, jak również umieszczanie wizerunku Matki Boskiej w Lourdes na zapalniczkach, cygarniczkach, fajkach, popielniczkach, na opakowaniu mydła i butelkach z wodą kolońską.

GRZECZNI PRZECIWNICY

W Armitsar odbył się niedawno Nadzwyczajny Zjazd Komunistycznej Partii Indii. W związku z tym stowarzyszenie miejscowych kupców wydało przyjęcie na cześć przywódców KPI, a Rada Miejska kierowana przez członków partii kongresowej (wobec której komuniści są w opozycji), zorganizowała uroczyste spotkanie z Nabudiripadem i Dange.

100 MAREK ZA POLICZEK

Sąd w Monachium skazał 57-letniego Rodericka Böttnera na 100 marek grzywny za to, że spoliczkował on jesienią ubiegłego roku b. marszałka Wehrmachtu,

Schörnera. Jak się okazuje, Böttner był w okresie ostatniej wojny podwładnym Schörnera i miał doń od tego czasu nieprzejednaną urazę. Choć sąd przyznał, że oskarżonego nie obciążają „żadne nieszlachetne motywy", to jednak stwierdził zarazem, że nie może tolerować prawa pięści. Kara nie zmartwiła zbytnio oskarżonego. „Jeszcze na łożu śmierci — oświadczył on — będę się cieszyć na myśl o tym policzku'.

GOLONO — STRZYŻONO ★ GOLONO — STRZYŻONO

Wszystkim, którzy po przeczytaniu mojej pierwszej zbiorowej korespondencji zapytują, dlaczego sprawiam wrażenie formy przejściowej między imbecylem a kretynem odpowiadam szczerze: Nie wiem, ale Bóg zapłać.

Poza spontanicznym odruchem zbiorowym zastałem na biurku szereg pytań zawierających wątpliwości indywidualne. Tak więc:

INŻYNIER Z.: „Mimo starań nie przyznano mi stypendium Rockefellera. Jakie stypendium na zagraniczne studia najłatwiej jest uzyskać?" — *Stypendium Exacty. Najlepiej ze trzy Exacty Varex. Przewozić w cylindrze na głowie. Części drobne w skarpetkach.*

JEDNA ZOSIA: „Dlaczego pantofle-szpilki rodzimej produkcji kosztują w prywatnych sklepach po 1200 zł a importowane, francuskie i lepsze w państwowych są po 600 i kto te pierwsze kupi?". *Każdy, komu droga jest idea odrodzenia handlu prywatnego. Patriotyzm wymaga ofiar. Nawet 600-złotowych.*

PAN T.: „W Łodzi bardzo trudno nieraz o taksówkę, natomiast łatwo o dorożkę konną. Tylko czy wypada jeździć dorożką?". *Mój panie, u nas jak się ma tyle pieniędzy, żeby jeździć dorożką, to wszystko już wypada.*

HENIO S.: „Chciałbym dobrze zarabiać. Marzę o tym, żeby pracować przy Toto-lotku. W ogóle, jak zdobyć intratną posadę?". — *Jak się da. A jak się nie da, to trudno.*

REF. K.: „Wysiadając z pociągu usłyszałem na dworcu przez megafon: Podróżny, przed wyjściem sprawdź, czyś nie zostawił bagażu w przedziale? Bardzo mi się ta grzeczność podobała. Czy nie należałoby podjąć u nas jakiejś akcji G (grzeczności) i takie hasła upowszechniać?" *Należałoby. Np. tak: Urzędniku, przed wyjściem do biura sprawdź, czyś nie zapomniał głowy w domu!*

NAIWNA Ł.: „Mój pierwszy i ostatni mnie porzucił. Co ze mną będzie?". — *Po pierwsze nie co, a kto. Po drugie: drugi i ostatni, trzeci i ostatni, czwarty i ostatni itd.*

OB. W. C.: „Dlaczego u nas nie pisano i nie piszą dobrych powieści?". *Niech pan czyta gazety. Wtedy dowie się pan, że przedtem nie było swobody, a teraz nie ma w sklepach papieru i atramentu.*

LOLA Z ŁASKU: „Skąd Lollobrigida ma takie sterczące piersi?". — *Z dumy, że jest Lollobrigidą.*

KS. P.: „Ten dureń Belfer u Was napisał, że nie ma sztuki rozebranej, ja wobec tego zapytuję a co to jest pornografia?". — *Insynuowanie twórcom, iż mają równie schorzałą wyobraźnię, jak insynuujący to odbiorcy.*

TOW. D.: „Jeśli ksiądz mówi to samo i sekretarz POP mówi to samo, to kogo słuchać?". — *Po pierwsze: to nie jest to samo. Po drugie radzę słuchać Podjadka.*

KSIĄŻKI

„Teoria widzenia"

Książka Władysława Strzemińskiego stanowi obszerne opracowanie wszystkich kierunków malarskich, znanych już z historii sztuki i wielokrotnie omawianych, ale daje całkiem nowe ujęcie problemu. Wśród wartości, omawianych zazwyczaj przez historyków sztuki, jak środowisko, (pojęte w całym olbrzymim kontekście zjawisk) i dzieło sztuki — pojawia się wartość trzecia — bodaj czy nie najważniejsza — twórca, artysta, który przez swoje indywidualne widzenie tłumaczy świat i zdarzenia odpowiednio dobrane i zakomponowane formy plastyczne. Wszystkie te czynniki, jak warunki społeczne, twórca i odbiorca łączą się ściśle ze sobą, niemniej jednak twórca jest tym pośrednikiem i tłumaczem na język form plastycznych — między dwoma pozostałymi wartościami.

Indywidualność twórcza, zredukowana do minimum na rzecz odbiorcy i mecenasa w przeszłych czasach — średniowiecze, renesans, barok — od połowy XIX wieku stała się w plastyce dominującą.

Takie postawienie problemu tłumaczy różnorodność i wielokierunkowość sztuki od pojawienia się impresionizmu, który zakładał indywidualność widzenia. W interpretacji Strzemińskiego zrozumiałe stają się dążenia plastyki nowoczesnej, deformacje Cezanne'a, stosującego w swoich obrazach kilka perspektyw, zamiast jednej, klasycznej. W zależności od tego odkrycia pozostaje sprawa kolejności widzenia, która szczególnie jasno występuje w analizowanych przez Strzemińskiego obrazach van Gogh'a i sprawa planów obrazu impresjonistycznego, do którego analogię stanowią fotografie z ostrymi i nieostrymi planami.

Malarstwo nowoczesne jest dziedziną trudną, ale książka Strzemińskiego, książka, napisana przez malarza wprowadza w zagadnienia warsztatowe w sposób jasny i zrozumiały. Retrospektywne opracowanie z punktu widzenia warsztatu malarskiego jest ogromnie interesujące i książka daje wielki materiał porównawczy, opracowany z wielkim znawstwem zarówno epok przeszłych, jak i nowoczesnych kierunków malarskich. Tajemnica warsztatu malarskiego zamknięta była na przysłowiowe siedem pieczęci, kwadrat tej cyfry jest dziś kluczem do poznania krainy barw i linii. 49 (zł) to cena książki Strzemińskiego.

TERESA KMIECIŃSKA.

dla naszego czytelnika

„Centralna prowokacja" *)

„...Konkretnie, Eugeniuszu Filipowiczu, ot co: poczynając od dzisiejszego dnia, będę dokładnie informowany o planach organizacji bojowej. Jak najdokładniej! Ale proszę nie denerwować się, nic będzie wsypy. Wiem, że pan zrobił już karierę w partii, przy mojej pomocy wysunie się pan jeszcze bardziej. Żadnego aresztowania nie dokonam bez pańskiej zgody. Palcem nie tknę nikogo, kto będzie panu potrzebny. Wiem, ma pan kumoterstwa, gorzej tam niż u nas w departamencie. Przyjaciel pański, na przykład, Czernow, może sobie spokojnie spacerować i gadać ile dusza zapragnie. Nie ruszę go. Sawinkowa też. Ale tych, których można wziąć bez uszczerbku, wezmę i powieszę. Z przyjemnością nawet, Eugeniuszu Filipowiczu. W ten sposób obaj zdusimy rewolucję. Jednych kupimy, innych powiesimy. Nie głupio, ale mądrze.

— Z mojej strony stawiam następujące warunki — jak gdyby nie słuchając generała, powiedział Azef: — nikt z ochrany nie będzie wiedział o mnie, aby nie było wsypy. I żeby aresztowania wskazanych przeze mnie bojowców odbywały się przed momentem zamachu, aby mniej było szubienic...".

Cóż można jeszcze dodać do tego zdumiewającego swym cynizmem dialogu? Chyba to, że zdarzenie jest całkowicie autentyczne! Azef, swojego rodzaju geniusz zwyrodnienia, superprowokator, czołowy agent ochrany — był równocześnie członkiem KC podziemnej Partii Socjalistów-Rewolucjonistów i szefem ich bojowej organizacji. Jednego po drugim wydaje na śmierć współtowarzyszy, czasami cudem unikając dekonspiracji. Przy tym pracuje również dla partii — przeciw policji. Akceptując i wykonując zamachy bombowe na carskich dostojnikach załatwia swoje porachunki osobiste i — rzecz oczywista — zbiera w partii laury „boga terroru rewolucyjnego".

Na blisko pięciuset stronicach książki czytelnik — od pierwszej chwili zorientowany w podwójnej grze Azefa — z trudem hamuje uczucie podziwu dla człowieka, którego cynizm musi budzić bezgraniczne potępienie.

„Książka i Wiedza" przywracając współczesnym pamięć o Azefie, daje czytelnikowi dreszcz emocji uwielokrotniony autentycznością wydarzeń.

A na marginesie jeszcze jedno trzeba koniecznie powiedzieć. Po co niektóre wydawnictwa zalewają rynek „kryminałami" o treści całkowicie wyssanej z palca i zgoła nieprawdopodobnej, skoro historia, nie tak nawet odległa, dostarcza sensacji, którym na próżno usiłowałby dorównać geniusz Conan Doyle'a i Agaty Christie!

(amaz)

*) Roman Gul. „Generał BO". „Książka i Wiedza". Warszawa, kwiecień 1958 r., stron 488, cena 25 zł.

ADAPTACJA POWIEŚCI ANDRZEJA OSTOJI

aspazja

ILUSTR. JBIS-GRATKOWSKI

— 22 —

STRESZCZENIE:

Mieszkańcy Ziemi próbowali kilkakrotnie zbadać tajemnice Marsa. 18 rakiet wysłanych z Ziemi na tę planetę — nie powróciło. Czy prawdopodobne jest, że — jak stwierdza depesza od uczestnika ostatniej wyprawy — na Marsie żyje jakaś straszliwa kobieta, niszcząca przybyszów z Ziemi? Na Marsa wyrusza dziewiętnasta rakieta, która po długiej podróży zatrzymuje się na księżycu Marsa — Deimosie. Uczestnicy wyprawy znajdują tu grobowce ze zmufikowanymi pszczołami wielkości człowieka. Znajdują także metalową rurkę niewiadomego pochodzenia.

Bardzo długo badaliśmy tę rurkę, zastanawialiśmy się nad jej budową i debatowali nad nią. Cóż to jest za rurka? Skąd się wzięła na powierzchni Marsa? Kto ją zgubił? 5

Stan zniszczenia i stwardnienia grobowców woskowych wskazuje, że społeczeństwo pszczół żyło na planecie przed milionem lat, tymczasem metalowa rurka jest chyba zupełnie nowa. Co prawda złoto i cyrkon nie podlegają utlenieniu, w każdym razie nie może ona liczyć sobie więcej niż kilkadziesiąt lub kilkaset lat. Cóżby z tego wynikało? No, chyba tylko to, że prócz nieżywych pszczół, są tu jakieś żywe istoty. Właśnie te istoty, nie tak dawno wyprodukowały tę rurkę, faktem jest również, że rurka nie mogła pochodzić z Ziemi. Na Ziemi nie znaliśmy takiego stopu.

• • •

Na wszelki wypadek postanowiliśmy opuścić nasz księżyc i przenieść się w wolną przestrzeń nad Marsem. Wyregulujemy balansjerami naszą pozycję i zawiśniemy nad planetą, gdzieś na wysokości 30—50 kilometrów. Chodzi o to, że przebywając na Deimosie, nie mogliśmy rozwinąć w pełni naszej osłony elektronowej.

— 23 —

Jeśli są tutaj jakiekolwiek istoty żywe, to są to istoty o wielkiej, może większej od naszej, inteligencji. Zapewne wykryły one nas dawno i prawdopodobnie wiedzą o każdym naszym kroku. W pewnym momencie mogą nas zaatakować, a my nie mamy żadnej innej obrony prócz pola elektronowego.

Jutro wyślemy na Agach cztery automaty kopiące tzw. „Wesołe Krety typ 98". W ciągu kilkunastu dni przekopią Marsa w różnych miejscach i różnych kierunkach. Doniosą natychmiast o warunkach swej pracy. Aparaty te są poruszane energią nuklearną i mają olbrzymią siłę. Superstopy molibdenu, wolframu, i tytanu dają im wielką wytrzymałość i odporność.

Wzmocniliśmy jeszcze naszą osłonę elektronową. Pole elektronowe wokół Giorii doprowadziliśmy do grubości kilku kilometrów i działaniem potężnych cyklotronów rozpędziliśmy elektrony do szybkości bliskiej szybkości światła. Ktokolwiek żywy trafi w to pole, nim jeszcze padnie trupem, już się zamieni w obłoczek pary. Każdy martwy przedmiot również zamieni się w obłok pary, w przeźroczystą mgłę. Ten nasz klosz energetyczny jest w tej chwili tak gęsty, że nawet w pełnym słońcu widać jego błękitnawy zarys. Ukryci wewnątrz czujemy się bezpieczni, ale bywają chwile ryzyka, gdy na jakiś czas musimy znosić tę zasłonę. Wysyłając i przyjmując kosmonetki, musimy kasować pole.

Uczeni nasi pracują w tej chwili nad stworzeniem jakichś tuneli w tej strefie, które umożliwiłyby przejście bez likwidacji całego pola.

Mamy wiele poważnych powodów aby się bardzo liczyć z inteligencją Marsjan. Faktem jest, że dotychczas zwyciężali i mają już w tej walce doświadczenie, oraz możliwe nawet, że znajomość naszej psychiki, natomiast my o nich nic nie wiemy i pojęcia nie mamy jak rozumują. Jeśli są mądrymi owadami, a wszystko na to wskazuje, to cóż możemy wiedzieć o tego rodzaju inteligencji? Nawet u nas, na Ziemi,

— 24 —

obcując od miliardów lat z owadami, nic nie wiedzieliśmy o ich psychice. Człowiek i owad, to coś tak odrębnego, że nie można ich z niczym porównać.

W ciągu ostatnich dni doktor Freyd i profesor Wanke przeprowadzili mikroskopową analizę komórek mózgu znalezionych pszczół. Okazało się, że te szare komórki są znakomicie wykształcone, wcale nie gorsze od naszych ludzkich, a jest ich przy tym o cały kilogram więcej, jakieś 2.300—2.400 gr. Taki kilogram przewagi w szarej substancji mózgowej, to jest to samo, co przewaga naszej na przykład inteligencji nad inteligencją słonia.

• • •

Już od kilku dni wisimy nad Marsem na wysokości 50 kilometrów.

Z czterech wysłanych „Wesołych Kretów" powróciły tylko dwa. Czy mamy traktować to jako wyzwanie rzucone nam przez Marsjan. Nie widać ich i nie słychać, ale w tym wypadku chyba się zdemaskowali. Nie poginęły przecież nasze Krety z przypadku? Pierwszy zaginął jakoś bardzo nagle. Był na głębokości 20 kilometrów. Meldował o temperaturze, szybkości posuwania się, przeszkodach i oporach, podawał strukturę gruntu, notował wszelkie zmiany otoczenia. Raptem zamilkł i już się nie odezwał. Nie wiadomo co się z nim stało. Drugi zaginął na głębokości 15 kilometrów. Meldował o swoich czynnościach tak samo, jak i jego towarzysze. W pewnym momencie doniósł, że zatrzymał się, gdyż znalazł się w pobliżu jakiegoś miejsca o bardzo wysokiej temperaturze. Następnie zameldował, że szybko cofa się, gdyż temperatura otoczenia nagle podskoczyła do 2.000° C. Potem było jeszcze kilka niezrozumiałych kresek — pewnie jego ostatnie westchnienie. I nic już więcej. Jeszcze więc dwie ofiary Marsjan. Czy może to coś innego? Ale co? Skąd nagle taka temperatura? Co się tam dzieje?

(D. c. n.)

„ULICA GRANICZNA".

została wyświetlona staraniem redakcji łódzkiej telewizji w XV rocznicę wybuchu tragicznego powstania w getcie warszawskim. Nic słuszniejszego. Na ekranach telewizorów odżyły smutne dni września 1939 roku i lata okupacji. Spotkanie po latach niewidzenia tak popularnych aktorów jak Mieczysława Ćwiklińska, Jerzy Leszczyński i Władysław Walter, wywołały wzruszenia dodatkowe. Na szczególne wyróżnienie zasłużył nieżyjący już wybitny aktor Władysław Godlik, który odtwarzając postać żydowskiego krawca Libermana stworzył niezapomnianą kreację. Oprócz tego, że film posiada polityczne wartości, które zawsze każdego zmuszą do refleksji, to okazało się, że pierwsze powojenne dzieło reż. A. Forda z przed 11 lat nie zestarzało się również pod względem artystycznym i zasługuje na zaszeregowanie jako pozycja klasyczna europejskiej kinematografii.

Inny punkt programu typu rocznicowego, to —

„WSPOMNIENIE O KAROLU SZYMANOWSKIM".

wg. scenariusza J. Waldorffa i reżyserii J. Kulmy, będące audycją (Warszawa) o której należy pisać w samych superlatywach. Nic nie przesadzam. Na ten punkt programu złożyły się: tekst mówiony przez Waldorffa zawierający najistotniejsze fragmenty z życia i twórczości wielkiego kompozytora, inscenizacja fragmentu baletu „Harnasie", impresja taneczna do muzyki jednego z utworów wykonana przez M. Krzyszkowską, rzeźby „świątków", wycinanki regionalne, zdjęcia fotograficzne, no i przede wszystkim muzyka, trudna, przecież nie dla każdego zrozumiała, a tu wskutek pomysłowej ilustracji bardziej przystępna. Tylko kulturze realizatorów zawdzięczać należy, że mnóstwo elementów z których skomponowano audycję nie spowodowało zamętu na ekranie. Skąpa ilość miejsca nie pozwala na szersze omówienie wszystkich ciekawych i nowych pomysłów zastosowanych po raz pierwszy, o jednym z nich muszę jednak wspomnieć. Otóż, ogromna o przepięknym kształcie starożytna waza obraca się majestatycznie w wielkim zbliżeniu i zatrzymuje w pewnej chwili w takim miejscu, że na brzegach ekranu widzimy piękne fragmenty jej rysunków, tworzących obramowanie... nowego obrazu, który wolniutko pojawia się z długiego przenikania. Leży nieruchomo dziewczyna. Postać skomponowaną jest idealnie w środku kadru, w planie ogólnym i tworzy jakby nowy rysunek na wazie. Złudzenie trwa jednak tylko chwilę, bo oto dźwięki fortepianu pobudzają ją do życia, dziewczyna wstaje, zaczyna tańczyć, kontury wazy znikają stopniowo... Taniec kończy się w identyczny sposób, tylko obrazy następują w odwrotnej kolejności. Naprawdę, patrząc na tę audycję chciałoby się powiedzieć, że —

telewizja jest sztuką.

Trwa już na ten temat dyskusja. Punktem wyjścia są tu naturalnie tylko te spektakle, które wskutek szczególnych zabiegów (np. wymieniony fragment audycji) zostają artystycznie przetworzone, zyskują nową i niemożliwą gdzie indziej do wykorzystania formę artystyczną. Najbliższe lata muszą rozstrzygnąć sprawę, czy telewizja, która nadaje tak przygotowany program staje się już sztuką samoistną? Jest faktem, że „artystyczna telewizja" istnieje, „żyje" wyłącznie dzięki istnieniu teatru, filmu i radia, że korzysta z wszystkich zdobyczy jakie wynalazek braci Lumiere wniósł do sztuki filmowej. Czy więc zdoła telewizja wprowadzić kiedyś własne, wyjątkowe wartości innego rodzaju i wówczas pretendować do miana nowej sztuki? Względnie czy efekty artystyczne, których próbki uzyskuje się już dzisiaj spowodują to uznanie, czy wystarczą?

Z. K.

ROZRYWKI UMYSŁOWE

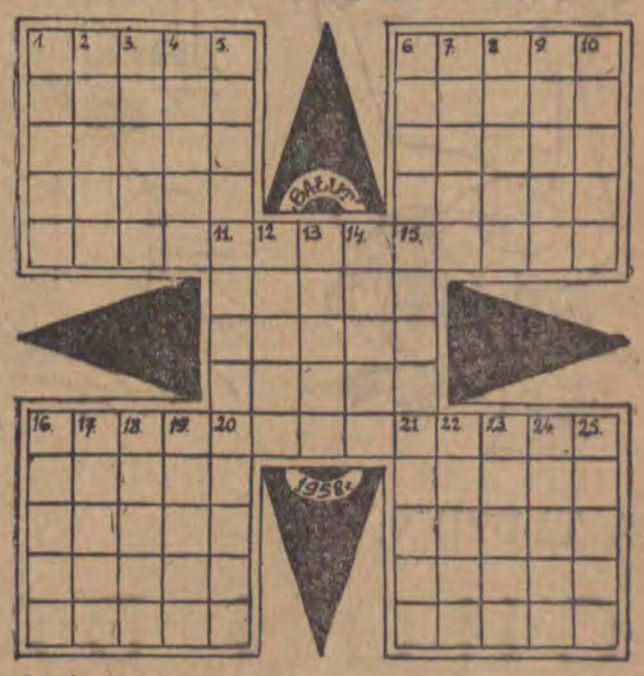

Znaczenie wyrazów:

1) Arka, 2) Litera grecka, 3) Pewność siebie, śmiałość, 4) Place zebrań w starożytnej Grecji, 5) Szablonowość, pospolitość, oklepanie, 6) Opust, bonifikata, ustępstwo z ceny towaru, 7) Imię żeńskie, 8) Taneczny utwór sceniczny, 9) Bogini mądrości, 10) Narodowość lub potraw mięsna, 11) Halas, olskot, 12) „Halka", „Flis" itp., 13) Żelazo, miedź, złoto itp., 14) Rzeka w Czechosłowacji, 15) Dawna moneta srebrna lub złota o zmiennej wartości, 16) Imię męskie, 17) Budynek dla bydła rogatego, 18) Notatnik, 19) Centralne miejsce, 20) Szeroki i ciężki nóż kuchenny, 21) Minerał, drogi kamień, 22) Zgoda, umowa, 23) Zdrobniałe imię męskie, 24) Wzór doskonałości, 25) Miasto nad Notecią.

Ułożył „Balut".

Termin nadsyłania rozwiązań — 10 dni.

Rozwiązanie białej krzyżówki z nr 6 (prawoskrętnie):

Topaz, Natal, teren, Meton, tokaj, Herat, banan, burak, Duran, Sakal, Tabor, Marat, Kawas, Peron, Logan, Kabul, laber, rabin: (lewoskrętnie): tabun, Nobel, tapir, metan, teraz, hotel, bekon, baran, Dunaj, Surat, taran, makak, kaban, parol, lewar, Korat, Lagos, raban.

Rozwiązanie anagramu Rugia, „Glaur".

Nagrody książkowe wylosowali:

1. Genowefa Anusiewicz, Łódź, ul. Wólczańska 52 m. 7.

2. Józef Szmeterlinng, Poznań, ul. Kosińskiego 7 m. 42.

NAJOSTRZEJSZE OŁÓWKI ŚWIATA

André François

albo

ŻARTY O MALARZACH

Długi jest rejestr pism, z którymi współpracuje ten płodny rysownik francuski. Drukują go „Ici-Paris" i „Le Ripe" czołowe pisma humorystyczne Francji, „Punch" „Liliput" i „London Opinion" — w Anglii. Francois związany jest też blisko z prasą komunistyczną prawie co niedzielę zamieszcza jakiś jego żart „Humanite-Dimanche". Znamy go wreszcie z polskiego wydania miesięcznika „Horizons", gdzie publikuje rysunkowe, bardzo dowcipne zagadki kryminalne.

Andre Francois wyraźnie jednak unika satyry politycznej, pozostaje humorystą. Tęgim Humorystą! Znakomite pomysły i świetna technika rysunku — to najbardziej ogólne cechy twórczości młodego jeszcze artysty.

A cechy bardziej szczególne? Oto najważniejsza: Zamiłowanie do tematów ze środowiska plastyków. Malarz przy stalugach i jego modelka są bohaterami prawie połowy ogromnej liczby rysunków Francois. Motyw stary, wertowany na wszystkie strony przez rzeszę humorystów z całego świata— a jednak Francois potrafi znaleźć w nim zawsze coś świeżego i oczywiście bardzo śmiesznego.

Tym cięższe zadanie, że rysuje zawsze żarty bez podpisu. A nawet w tym gatunku przyjmuje dalsze utrudnienie — tzw. „dowcip z zawieszeniem" (to celne określenie wymyślił Marian Eile). Na czym to polega? Proste: pointa dowcipu jest w rysuneczku ukryta, czasem przez dłuższą chwilę nie możemy się połapać, na czym polega żart. Ale gdy „złapiemy pointę", śmiejemy się tym głośniej. Zresztą klasyczny przykład zamieszczamy obok, rysunek na którym grupa malarzy szkicuje akt kobiecy. Szukajcie dobrze, bo pointa jest dobrze ukryta...

Aha, jeszcze słówko o namiętnościach Andre Francois. Bardzo lubi rysować żarty o strusiach i centaurach. Dlaczego — nie wiem — ale żarty są zabawne!

J. W.

ZA TYDZIEŃ:

CHON DAY

— albo przygody brata Sebastiana

odgłosy str. 10

MICHAŁ GALEWSKI

Dwa limeryki

Spytał raz w Łodzi spawacza tramwajarz:
— Cóż pan tam dzisiaj ciekawego spajasz?
Kiedy spawacz odrzekł:
— Trzy zapałki w poprzek.
Tramwajarz śmiał się z tego przez calutki maj aż.

* * *

O pięknych oczach pewne dziewczę z Sydney
z powodu brzydkich łydek było bardzo bidne.
Panowie, gdy z nią spali,
to łydki wychwalali,
rozpowiadając potem, że są wprost ohydne.

Cha! cha! Pi!

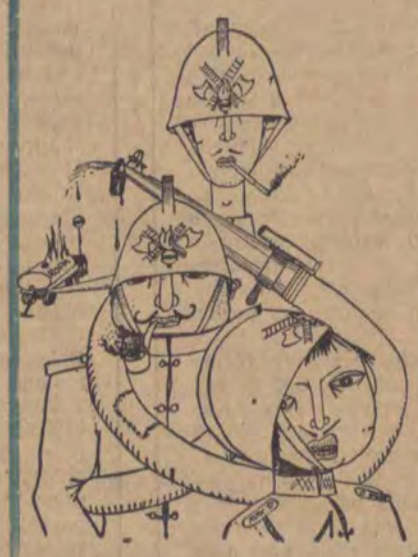

JAN CZARNY VIII

Historia o Bzdurowie we fraszkach i obrazkach

BEZPIECZEŃSTWO PRZECIWPOŻAROWE

Straż ogniowa Bzdurowa —
w sikawkach ropa naftowa.

Rys. H. Poulain.

TADEUSZ SŁUPECKI

Urzędowa droga

Petent pisał ufnie:

„Ja, Michał Dylik, syn Marcina z Krzekocina, pytam Rady Powiatowej, czemu mi w gromadzie — choć w hodowli na świeczniku-m stać godzien — drzewa na obórkę dać nie chcą? Bez co w słotę bydło do chałupy pędzać muszę, jako że na wsi krów pod parasolami chronić jeszcze nie zwyczajni. A Janowi Plusze, zwanemu Jasiu-zielone-ucho, trzeci raz drzewo przyznali! Sam mu żem to drzewo wczoraj wieczorkiem do chałupy zwiózł. Ale czy tak się godzi? Toć Jasiu-zielone-ucho obory stawiać nie może! Bo ino gołębie chować lubi. Więc upraszam, żeby mi też kwit do lasu dali. Bo bez kwitu i nieładnie, i pod sąd trafić można..."

— Ech! Obyś, bazgraczu, na tym kwicie kark skręcił! — zżymnął się na kulfony petenta woźny Karpuszko. Po czym przywalił na podaniu potężny stempel.

W dziale podatkowym dogodził drugą pieczątką ob. Klimas. Po czym prośbę, niczym piłkę nożną, przerzucił do właściwego kolegi.

Kolega był cierpkim staruszkiem, co bał się nawet własnego cienia. Dlatego podanie upchnął do działu gospodarczego.

Stamtąd przesłano je do działu zdrowia. Lekarze, rzecz jasna, nie przegapili faktu, że Dylik sypie przechwałkami o swej hodowli.

— Można by to, oczywiście — opiniował oddział zdrowia — uważać za chorobliwy przerost ambicji. Czy nie lepiej jednak uznać petenta za wzór hodowcy? I upowszechniać go przez referat kultury?

Ale referent kultury orzekł, że Dylik upomina się o krzywdę swego sąsiada, co krowy trzyma pod parasolem, bo nie może zbudować obory. Na co poradzić mógłby tylko sam przewodniczący.

Sekretarka przewodniczącego łupnęła pieczątką w ostatni wolny od stempli skrawek podania. Jej szef zaś z paru mniej tuszem zachlapanych fragmentów doszedł do wniosku, że Dylik woził wieczorem z lasu do chałupy jakieś drzewo bez kwitu. A teraz obleciał go strach przed sądem. I aby uniknąć kary, błaga powiat o pomoc w kupnie owego kwitu.

— A to ci heca! — zatarabanił palcami w stół przewodniczący. — Pierwszy raz widzę, aby chłop sam donosił władzy, choćby ludowej, o swoim występku!

Po czym, ubawiony, sprawę przesłał do kolegium orzekającego, skąd woźnemu Karpuszko polecono wysłać następującą odpowiedź:

„Do
Obywatela Michała Dylika syna Marcina z Krzekocina".

„W odpowiedzi na Wasze dobrowolne, ze skruchą złożone zeznanie o kradzieży drzewa z lasu — Kolegium Orzekające komunikuje, że zwróciło się do odpowiednich władz o niewytaczanie Wam sprawy sądowej. A także o wystawienie Wam, w drodze wyjątku kwitu na skradzione przez Was drzewo. Z tym, że oprócz należnej ceny wpłacicie dodatkowo 500 złotych na Czerwony Krzyż.

Zarazem powiadamiamy, że w sprawie Waszego sąsiada zwanego Jasiu-zielone-ucho poczynimy energiczne kroki, by mu umożliwić zakup desek na budowę tak niezbędnej dla jego krów obórki.

Z ludowym pozdrowieniem

Kolegium Orzekające przy Powiatowej Radzie Narodowej w Kitnie.

ZBIGNIEW NIENACKI

ZABÓJSTWO HERAKLIUSZA PRONOBISA

Powieść

ILUSTRACJE
JERZEGO NOWOSIELSKIEGO

W palarni zaczepił nas redaktor „Horyzontów Filatelistyki".

— Panowie, najlepsza partia, to partia pokera. Może zagramy, hę? — uczynił dłońmi gest tasowania kart.

Przecząco pokręciłem głową. Nie lubiłem hazardu. To samo mistrz Nataniel. Redaktor skrzywił się z niesmakiem.

— Ech, panowie, daleko wam do prawdziwej mądrości. Czy nie mądrzejszymi od was są nasi borowscy złodzieje? Wy dyskutujecie, mądrzycie się, politykujecie, a oni kradną. Prawdziwa mądrość polega na tym, aby umieć żyć wśród głupców. Zresztą, do tej pory borowskie dzieła sztuki cieszyły oko kilkunastu zwariowanych intelektualistów, a teraz, dzięki kradzieży, pójdą w lud, w naród...

Ozwał się mistrz Nataniel:

— Jest pan bardzo n o w o c z e s n y m filozofem, redaktorze. Dawniej filozofowie pragnęli świat objaśnić, dziś chcą świat zmienić. Dlatego nie ma komu nas objaśnić, czy świat zmienia się na lepsze, czy na gorsze.

— Drogi mistrzu — odparł z pogodą redaktor „Horyzontów Filatelistyki". — Filozof szuka prawdy. Prawda jest w winie, wino jest w piwnicy, w piwnicy panuje ciemność, a tam gdzie ciemno — najłatwiej złodziejom i głupcom.

Nataniel westchnął ciężko:

— Przysłowie powiada: mądry głupiemu ustąpi. Ale jak tak ciągle mądrzy będą głupcom ustępować, to głupcy zaczną o wszystkim decydować i wówczas nastąpią zupełnie złe czasy

— Zaznaczyłem przed chwileczką: prawdziwa mądrość polega na tym, aby umieć żyć między głupcami.

— Niejeden stracił rozum, gdy chciał prędko zostać mądrym — rzekł cicho mistrz Nataniel.

Redaktor zaczerwienił się, a potem szybko wyszedł z palarni.

* * *

Po obiedzie, gdy w swej komnacie wieżowej mistrz wypoczywał na wygodnym szezlongu, a ja spacerując po pokoju tłumaczyłem się, dlaczego zaniedbuję sprawy świętobliwych opatów — ktoś zapukał do drzwi.

— Antrez — zawołał mistrz.

Wszedł oficer milicji. Najpierw rozejrzał się po komnacie Nataniela, następnie przyjrzał się naszym twarzom. Niezaproszony przykucnął obok mistrza na brzeżku szezlongu.

— Bardzo jestem rad, że widzę panów obydwóch — powiedział z nieukrywanym zadowoleniem. — Czy możecie mi, obywatele, odpowiedzieć na pytanie: dlaczego wyszliście z pałacu łamiąc surowy zakaz?

Mistrz odparł z niezmąconym spokojem:

— Zauważyliśmy, że malarz Borówko zachowując się bardzo podejrzanie, wybiegł z pałacu. Pośpieszyliśmy za nim, aby go śledzić. Lecz umknął nam. Na próżno biegaliśmy po całym parku.

— Właśnie zaobserwowałem waszą bieganinę z okna biblioteki — przytaknął milicjant.

— Czy moje wyjaśnienie pana zadawala? — zapytał mistrz z troską w głosie.

— Najzupełniej.

Milicjant wstał z szezlonga i skierował się ku drzwiom. Tu zapalił papierosa i rzucił na odchodnym:

— Najciekawsze jest to, że wyjścia malarza Borówko nie widziałem. Natomiast doskonale dostrzegłem waszą bieganinę. A przecież, gdyby obywatel Borówko rzeczywiście wyszedł z pałacu, to musiałbym zaobserwować to z okna biblioteki?

— Innymi słowy, nie ufa pan mojemu wyjaśnieniu, wszak tak? — rzekł cierpko mistrz.

— O, ja nikomu nie ufam. Taki już mam zawód — westchnął milicjant i opuścił komnatę. Nataniel smutnie pokiwał głową.

— Oto jest dla nas nauka, Tomaszu. Przestrzegają filozofowie; nie mów wszystkiego co wiesz; nie wierz wszystkiemu co usłyszysz, nie sądź wszystkiego co widzisz; nie rób wszystkiego co możesz. A przysłowie powiada: „Wołu strzeż się z przodu, konia z tyłu, a człowieka ze wszystkich stron".

— Czy on nas każe aresztować?

— Zapewne. Jak powiada ludowe przysłowie: „powiesić się — wstyd; utopić się — zimno; zastrzelić się — boli; więc trzeba cierpieć z Bożej woli".

— Boże! — złapałem się za głowę.

— Przeraża cię więzienie? — zdziwił się Nataniel.

— Nie. Przerażają mnie twoje aforyzmy.

— Cóż więc zamierzasz, Tomaszu?

— Mistrzu, pokaż mi nareszcie portret Anny Orzelskiej. Kto wie, co może przynieść jutrzejszy dzień? Pragnąłbym ujrzeć tę słynną piękność.

Nataniel poprawił przed lustrem przekrzywiony krawat i opuściliśmy wieżową komnatę. Kierując się na pierwsze piętro do „czerwonego salonu", gdzie wisiał portret Orzelskiej, po drodze natknęliśmy się na doktora W., który w szatni przylegającej do sieni kończył rozmowę telefoniczną.

— Mam dla pana przyjemną wiadomość, mistrzu — zawołał doktór odkładając słuchawkę telefonu. — Przed sekundą dzwoniła poetka pani Ritta S., zdaje mi się, pańska sympatia, mistrzu. Otóż za kilka dni zjedzie ona do Borowa, aby jak mnie informowała, opracować swój poetycki „Traktat filozoficzny". Czyżby nadeszła era traktatów? Mój Boże, ongiś traktaty pisali jedynie brodaci filozofowie, a dziś urocze niewiasty.

Nataniel wzniósł oczy do sufitu.

— Boże, czemu mnie prześladujesz?

* * *

„Czerwony salon" okazał się rozległym pokojem o pięciu oknach, wybitym czerwonym kormazynowym atłasem. Znajdowały się tu trzy wspaniałe trema zwierciadlane, jedną ze ścian okrywał kobierzec z fabryki Gobelinu, stała okryta karmazynowym adamaszkiem kanapa typu „confidente" i 11 czerwonych foteli polskiej roboty. Obok była staroświecka komoda francuska pokryta płytą z marmuru czerwonego z szaro-białym żyłkowaniem. Lecz od drzwi zwracał uwagę przede wszystkim ogromny portret Louisa de Silvestre.

— Anna Orzelska jest córką Augusta II zwanego Mocnym — objaśnił mnie mistrz Nataniel. — Jedną ze stu jego córek.

— Czy dlatego nazwano go „Mocnym"?

— Między innymi. Osiłek, łamał podkowy. Podobno miał również około 60 synów, a wśród nich najukochańszego, Maurycego hr Saskiego z matki Aurory Konigsmarck. Portret jego, pędzla Quintana de la Tour, widzisz na prawej ścianie. Anna Orzelska była najukochańszą córką królewską, zresztą jak plotkują historycy, ponoć kochał ją miłością różną od rodzicielskiej, sam rozumiesz... — tu Nataniel porozumiewawczo przymrużył lewe oko. — August Mocny wybudował Annie monarszy wprost pałac w Warszawie, pałac zwany „Błękitnym", gdyż jak powiadają ówcześni kronikarze, Orzelska uwielbiała kolor błękitny, ubierała się na błękitno, w niebieskim kolorze miała swe pokoje, liberie służby, uprzęże, karoce, nawet pałac. De Silvestre, nadworny malarz Ludwika XV, a potem elektorów saskich i królów polskich, wymalował „piękną Anetkę" w błękitnej sukni...

Z szerokiej i długiej do ziemi sukni wyłuskiwały się nagie do łokci krągłe i drobne ręce, białe ramiona i piersi, delikatna szyja i twarz kobieca o niezwykłej urodzie. W twarzy tej oczy patrzyły filuternie, na drobnych wargach miała zalotny uśmiech.

— Brwi wąskie, skośne i czarne jak u Milady — szepnąłem.

— Że też ty musisz zawsze z kim kojarzyć — jęknął Nataniel.

— Nie bądź naiwny, Natanielu. Tak samo jak i ja domyślasz się chyba, że kradzieże w Borowie są dziełem Czarnej Milady, lub któregoś z jej kompanów. Nie zapominaj, co nas tu sprowadziło. „Potem do Borowa" — wołał Szczurek w karczmie Winodaj. „Potem do Borowa" — mówiły bandziory w dworze w Łękach. „Potem do Borowa" — pisało w tajemniczej karteczce. Nie zetknęliśmy się tu z nimi bezpośrednio, lecz przecież na każdym kroku odczuwamy obecność Czarnej Milady.

Mistrz podrapał się w głowę.

— Jakoś nie mogą sobie wyobrazić, aby Milady, taka piękna kobieta, wcieliła się w postać, no powiedzmy... Eleonory z Kraszewskich? A może ucharakteryzowała się na malarza Borówkę? A może jest nią Anna Orzelska, która ma skośne i czarne brwi jak Milady? — zadrwił.

Wzruszyłem ramionami. Nie mogłem oderwać oczu od twarzy Anny, od jej ramion i pysznego gorsu. Zdawało mi się, że spojrzenie jej rzucone kącikami zalotnych oczu wwierca się we mnie, wabi mnie, urzeka. Wyobrażałem sobie urodę kształtów zgubionych w fałdach szerokiej sukni i było mi smutno jak zwykle w zetknięciu z niezwykłą i nieosiągalną dla mnie pięknością.

— Uczone białogłowy nie omieszkają zaznaczyć przy nazwisku Orzelskiej, że była lekkomyślną, niezbyt surowych zasad. Mężczyźni na ogół wyrażają się o niej z podziwem. Jak wiesz, pięknej kobiecie mężczyźni wybaczą w s z y s t k o, kobiety zaś nic. Nawet po dwustu latach — stwierdził Nataniel.

Od dłuższego już czasu mistrz obserwował mnie z ironią. Rozsiadł się w jednym z foteli, założył nogę na nogę.

— Życzyłeś sobie kiedyś, Tomaszu, abym ci powiedział o kobietach, o ich dziwnej naturze. Wtedy nie była sposobna pora do podobnych rozmów, dzisiaj natomiast jestem do twoich usług.

Posłusznie siadłem w fotelu w pobliżu Nataniela, twarzą w twarz z portretem „pięknej Anny".

Mistrz począł głosić, a na jego twarzy widniała wzniosła zaduma:

— Już w czasach dawnych stary Rej z Nagłowic nauczał wiernych, że póty człowiek w pięknej rzeczy się kocha, póki piękniejszej nie ujrzy. Twierdzono wtedy również, że nie trzeba pragnąć zbyt pięknej żony, bo posiadana piękność szybko powszednieje i... strzec jej trzeba. Jeżeli zaś bardziej polegasz na mądrości Eklezjasty wiedz, że radził: nie zapatruj się na piękność żadnego człowieka, ani zasiadaj między pięknymi niewiastami... Starożytni uważali, że trzy są zbroje niewiasty: słowa, piękność i płacz. W „Boskiej komedii" Dante tak się rozprawia z kobietami:

„Niedługo miłość trwać może w kobiecie
Gdy jej nie żywi wzrok lub dotykanie".

Goethe, do którego zazwyczaj udawałem się po radę w sprawach sercowych i który był poważnym znawcą w tej dziedzinie, uczył mnie w swych „Gedichte":

„Bądź pobłażliwy zawsze dla kobiety
Bo ona nosi ułomności znamię

Z krzywego żebra stworzona niestety
Więc, gdy ją nagiąć zechcesz, to się złamie
A gdy dogodzić pragniesz najgoręcej
To się na pewno skrzywi jeszcze więcej".

Lecz zaręczam ci, Tomaszu, że jeśli chodzi o prawdziwe znastwo kobiet, my Polacy, nie musimy szukać nauk za granicą, mamy bowiem na tym polu szczególne osiągnięcia. Znał się na tych sprawach Fredro. A Kochanowski to prawdziwy spec. Zapamiętałem jego uroczą przestrogę.

„Iskry ten szuka w wodzie i róży w płomieniu
Kto kobiecemu ufa przyrzeczeniu".

Gdy zaś kiedykolwiek serdeczniej pomyślisz o Czarnej Milady, wspomnij fraszkę Kochowskiego:

„Choćby nie wiem jak wiele chwalby wdowy miały
Przecie z poczętej beczki trunek jest zwietrzały".

Najwięcej aforyzmów o kobietach uknuli, rzecz jasna, księża. Biskup Krasicki szczególnie w nich celował. Pamiętam jeden z jego uroczych donosów na kobiety:

„Płeć ta z pozoru choć zdaje się płocha,
Przecież kiedy jej człowiek zawadza
Tak nienawidzi zbytecznie jak kocha".

Mickiewicza pominę. Cóż po radach człowieka, który sam sobie nie mógł poradzić? O, Potocki, temu można zawierzyć:

Kto ma babę w zaprzęgu, a u dyszla złoto
Czego diabeł nie może, niech się kusi o to".

Gdy kobieta znajdzie się między dwoma mężczyznami, z których pierwszy będzie jej prawił miłe słówka, a drugi zacznie wygadywać na jej sąsiadki, jak myślisz, którego będzie chętniej słuchać, a do którego się uśmiechać?

— Nie wiem, Natanielu...

— Uśmiechać się będzie do tego, kto jej prawi miłe słówka, ale ucha nadstawi chętniej temu, kto będzie obgadywał jej sąsiadki. Pamiętaj: nikt nie jest tak zuchwały, jak kobieta raz schwytana na gorącym uczynku. Pamiętaj: przyjaźń dwóch kobiet jest zazwyczaj spiskiem przeciwko trzeciej. Jeśli chcesz jaką myśl spopularyzować, udaj się do kobiet. Wnet ją sobie przyswoją, bo są głupie; rozpowszechnią szybko, bo gadatliwe, a trzymać się jej będą długo, bo uparte. Jak myślisz, dlaczego Chrystus o swym zmartwychwstaniu najpierw kobietom powiedział? Bo wiedział, że wieść o tym najprędzej rozniosą. Kobiety tak są próżne i łatwowierne, że najbrzydsza nie zdziwiłaby się gdybyś jej powiedział, że jest piękna jak Wenus.

Pamiętaj: było siedem Muz czyli mądrych kobiet... a wszystkie zostały starymi pannami. Strzeż się Muz, mój drogi Tomaszu. Gdy się dwaj śmiertelni wrogowie zejdą w towarzystwie to udają, że się nie znają; jeśli to są kobiety, to się — ucałują. Gdy kobieta mówi, że nienawidzi — wierz jej zawsze, gdy mówi, że kocha, wierz czasem: gdy przyrzeka wierność do zgonu — nie wierz nigdy. Gdy ci kobieta przyznaje, że nie ma słuszności, to bądź pewien, że ma i prośbę do ciebie... Gdy kobieta jest niebrzydka, a chcesz się jej spodobać, chwal jej piękność, a gdy zaś brzydka, wygaduj na brzydotę innych kobiet... W towarzystwie kobiet nie mów źle o wszystkich kobietach, bo wszystkie rozgniewasz; gdy zaczniesz mówić źle o jednej, wszystkie inne słuchać się będą ciekawie...

— Mistrzu, powinneś zostać redaktorem ściennych kalendarzy z aforyzmami na każdy dzień tygodnia — rzekłem zdenerwowany.

— Czyżbyś znał mój wielki zbiór kalendarzy? — zdziwił się Nataniel. — I pomyśleć, że zamiast aforyzmów umieszczacie teraz cytaty z polityków. Upadła sztuka ściennych kalendarzy...

brody.

— Jesteś, Natanielu, głupi i zarozumiały! — wykrzyknąłem. Poczem opuściłem „czerwony salon", lękając się, że jeszcze słówko mistrza, a pokłócimy się na zawsze, że pryśnie nasza wielka przyjaźń.

Oślepiony gniewem zderzyłem się w hallu na drugim piętrze z Panienką z Wydawnictwa. Wybiegła nagle spoza załomu muru, wpadłem na nią tak mocno, że biedaczka aż straciła równowagę i o mało nie rozciągnęła się na podłodze. Na szczęście w porę uchwyciłem rękami jej talię.

— Och, panie Tomaszu! Jakże pan nieostrożny! — zawołała z wyrzutem.

I tkwiła w mych ramionach przegięta do tyłu tak, jak ją złapałem; jej spiczaste piersi dotykały mojej

I mistrz udał, że ociera gorzką łzę.

— To wina mego roztargnienia — przepraszałem — Jestem bardzo roztargniony.

— W tak młodym wieku? — zapytała wiercąc w mojej twarzy małymi oczkami.

(d.c.n.)

Redaguje Zespół. Wydawca: Wydawnictwo Prasowe „Prasa Łódzka"
Adres redakcji: Łódź, Piotrkowska 96. Tel. 244-79
Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca
Warunki prenumeraty: miesięcznie 4.— zł, kwartalnie 12.— zł
Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPIK „Ruch" — Łódź, ul. Roosevelta 17. Konto PKO — Łódź 7 — 6-579 z zaznaczeniem na „Odgłosy"
Druk. RSW „Prasa" — Łódź, Żwirki 17. Z. 1491. V. 59. M-4

MIESZANKA FILMOWA

LAURENCE OLIVIER

(Rys. Ibis-Gratkowski).

Organki

Od niedawna Wytwórnia Filmów Oświatowych realizuje filmy fabularne, średniometrażowe, przeznaczone dla widowni dziecięcej. Oglądałem dwa filmy z tej serii, „Trzy pióra", zrealizowane przez reż. Macieja Sieńskiego (napiszę o tym filmie za tydzień) i „Organki" reż. Domalewskiego.

„Organki" nakręcone zostały wg scenariusza J. Nasfetera. Jest to film zrobiony zgrabnie, film dla określonego adresata. Zasługą reżyserii jest ominięcie deklaratywności w finale filmu i prosta konstrukcja akcji. Młodzi aktorzy prowadzeni są pewnie, a momenty pojawiania się na ekranie młodszego dziecka (przypominającego malca z „Małego uciekiniera"), są komicznymi i bardzo dowcipnymi wstawkami. Walory tego filmu są w równej mierze zasługą reżysera co i operatora, Kazimierza Muchy, autora interesującej oprawy plastycznej.

WIDZ

Oba zdjęcia przedstawiają aktorkę Leslie Caron. Mniejsza fotografia była już przez nas niegdyś reprodukowana, w dużym powiększeniu. Powtarzamy ją dla przypomnienia i dlatego, że nam się Leslie Caron bardzo podoba.

Leslie Caron debiutowała w „Amerykaninie w Paryżu". Jest to historia młodego malarza, który przybywa do Paryża, żeby znaleźć swoje szczęście (Leslie) przy dźwiękach znanego utworu Gershwina.

W kinie

Niebieski ptak

Ten film oglądałem w kinie. Widownia była prawie pusta, tylko gdzieniegdzie rozsiane były samotne kępki widzów. Dlaczego? Przecież pisanie o „Niebieskim ptaku", że jest filmem trudnym, byłoby aktem przesady. Owszem, ten film wymaga przygotowanego odbiorcy, ale nie różni się pod tym względem od znakomitej większości filmów, cieszących się powodzeniem na ekranach. Zatem nie elitarność filmu Felliniego, spowodowała chłodne przyjęcie, zgotowane „Niebieskiemu ptakowi" przez publiczność łódzką.

A więc co?

Przede wszystkim zawiniło rozpowszechnianie właśnie tego filmu w najdroższym kinie premierowym (Bałtyk). Nie dlatego, że kino to znajduje się w stadium remontu, czyli nie jest uprawnione do pobierania wysokiej opłaty za bilet. Rzecz leży gdzieindziej. Otóż akurat „Niebieski ptak" najmniej nadaje się do spełniania roli magnesu, przyciągającego widzów do drogiego kina. Przede wszystkim przez to, że zawarte w nim elementy atrakcyjne w powszechnym pojęciu tego słowa — a więc akcje złodziejskie, bójka, sceny erotyczne, występują zaledwie od czasu do czasu. A że ten film, z racji swoich wartości artystycznych i humanistycznych winien być najgoręcej polecany widowni, to oczywiście źle się stało, że rozpowszechniany jest w kinie z natury rzeczy cokolwiek elitarnym. Poruszam tę kwestię celowo, ku uwadze Okręgowego Zarządu Kin. Ale muszę od razu zauważyć, iż w myśl tych samych postulatów dobrze się stało, że na przykład „Główna ulica" (film który cenię bardziej niż „Niebieskiego ptaka"), wyświetlana jest w kinie „Włókniarz" a więc w kinie bynajmniej nie premierowym.

O „Niebieskim ptaku" napisać można by sporą rozprawkę, ale to nie ma przecież sensu, gdy się już powiedziało wszystkie, acz zamknięte w ogólnikach superlatywy. Dodać można więc tylko tyle, że Felliniemu pokręciło się coś w finale i przynajmniej ze trzy pointy unicestwił przy pomocy fatalnego montażu. Oto rozmowa pożegnalna kalekiej dziewczyny z oszustem sfilmowana została bez wplecenia akcji równoległej, albo jakichkolwiek innych—pobocznych atrakcji. W każdym razie wynikiem tej konstrukcji stała się rzecz nieprzyjemna. Oto każdy bez wyjątku widz, o ile patrzy na ekran i prawidłowo kojarzy fakty, to dostrzega, że oszust nie zwrócił dziewczynie pieniędzy. Oczywiście wyklucza to możliwość narodzin jakiejkolwiek niespodzianki, rzeczy cennej i na ogół zapobiegliwie szukanej.

WIDZ

Dzieci, matki i generał

Filmy produkcji zachodnio-niemieckiej, przynajmniej te, które oglądaliśmy dotychczas w Polsce, nie były rewelacjami. Laslo Benedek, zgodnie z tą zasadą, zdaje się nie wychodzić w sumie poza przeciętność.

Pierwsze sceny jego filmu, a więc: niezręcznie opowiedziane zawiązanie akcji — ucieczka ze szkoły na front kilkunastu chłopców w wieku 15 lat, nieprzekonywająco pokazane postanowienie matek o udaniu się ich śladem i „zabraniu" chłopców do domu — są zdecydowanie słabe.

Dopiero dalsze sekwencje nabierają wartości, których nie wnosi jednak zewnętrzna warstwa, tkwiąca w wątku fabularnym, sprowadzająca się do banalnej już tezy: — matki niemieckie nie chcą aby ich synowie ginęli na wojnie. Walory filmu leżą w świetnie miejscami zarysowanym tle — obrazującym sytuację moralną niemieckich żołnierzy i oficerów na kilka miesięcy przed końcem wojny.

ŻAK.

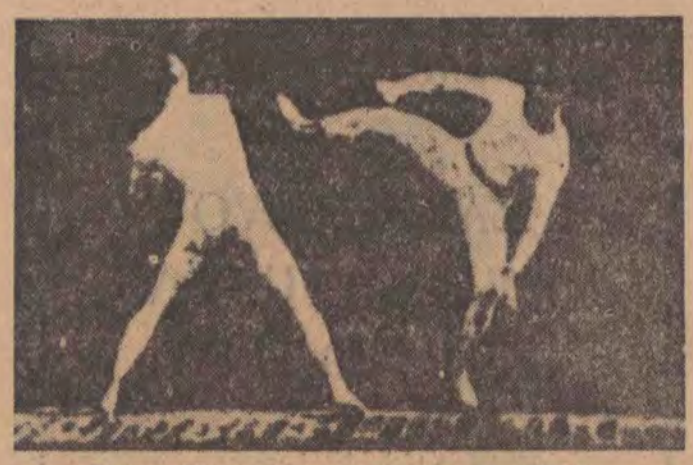

Kadr z filmu eksperymentalnego pt. „Dom".

Dalszy ciąg

SPRAWA DO ZAŁATWIENIA

Film fabularny, krótkometrażowy, czyli tzw. etiuda — jest formą niezmiernie trudną, podobnie jak w literaturze nowela. Wielokrotnie zastanawiałem się, jak by wyglądał w potyczce z etiudą najdoroślejszy i zaprawiony w bojach pełno-fabularnych — branżysta. Obawiam się, że bardzo mizernie.

Reasumuję: Metoda horoskopów jest bezużyteczna i można ją sobie darować. N. — być może — Twórca Znakomity — pozostanie osobą nierozpoznaną. Jak długo? Tego nikt nie odgadnie, bo na debiut składa się zbyt wiele pomyślnych zbiegów okoliczności i szczęśliwych przypadków. Zbyt wiele — żeby cokolwiek można było przewidzieć. Zostawmy więc mojego biednego N., któremu w międzyczasie ktoś polecił pilnowanie rekwizytora (czytaj: wyszukiwanie za niego rekwizytów). Inny N. — bo „N" to bynajmniej nie jedna osoba, ale cała dywizja — dozoruje tymczasem kostiumologa; jeszcze dalszy N. poszedł po piwo itd.

* * *

W żadnym wypadku nie ulega dla mnie wątpliwości, że asystenturę słusznie uczyniono „szczeblem koniecznym". Należy jednak żałować, że nie uwzględniono przy okazji kilku drobnych subtelności krajowego rynku filmowego. Myślano: (a rzecz ładnie wygląda w planach)

Student opuszcza mury uczelni filmowej, gdzie żył niejako pod kloszem; w warunkach prawie cieplarnianych. Teraz dostaje się w machinę Prawdziwego Filmu, spełnia kolejno mało skomplikowane, marginesowe funkcje, aż dochodzi do bardziej odpowiedzialnych. W ten sposób otrzymuje Wielką Szansę, bo poznając warsztat „od dołu" — sam jest równocześnie rozpoznawany. W myśl założeń — delikwent stanowi w ten sposób obiekt, podlegający nieustannej obserwacji. Innymi słowy, asystentura jest okresem badań, w wyniku których może nastąpić pracowicie wyczekane zaufanie. Może, ale musi — jako że przysłowie „kariera kołem się toczy" w dziedzinie kinematografii ma swoje szczególne znaczenie. Powtarzam: — układając zasadę asystentury przeoczono niektóre szczegóły bardzo wązkie i zarazem charakterystyczne. Zapomniano, że skazując naszego N. na oglądanie (albo co gorsze: przykładanie własnej ręki!) cudzej pracy na planie, kiedy ta praca jest okropna, albo tylko zła — popełnia się rzecz straszną. Prawie zbrodnię — bo w stu przypadkach filmów polskich reżyser chcąc nie chcąc daje swoim asystentom cykl wykładów beztroski i tym samym udowadnia, że wszystko, czego się N. w szkole nasłuchał o montażu czy prowadzeniu aktora, to lipa — bo filmy kręci się metodą „jakoś to będzie..."

(d. c. n.)

FELIKS DRENER

DZIS: VACAT*)

x) Vacat (Łać.) od vacare, czyli „być wolnym, próżnym". Tutaj użyto w celu zaznaczenia, że zapowiedziany przed tygodniem R. Polański (reżyser laureat) nie wystąpi w niniejszym okienku, ponieważ nie dostarczył na czas fotografii. R. Polański wystąpił natomiast na skromnym bankiecie, zorganizowanym pewnej nocy z niedzieli na poniedziałek w salach kawiarenki „Honoratka". Kilkadziesiąt osób, należących do zaproszonej elity intelektualnej wznosiło toasty i śpiewało pieśni masowe.

Impreza odbyła się z okazji zdobycia przez film reż. Romana Polańskiego („Dwaj ludzie z szafą") medalu na Festiwalu Filmów Eksperymentalnych w Brukseli.

MARIA KORNATOWSKA

DWUNASTU GNIEWNYCH LUDZI

Szary, nieefektowny pokój, 12 zwykłych, nieefektownych mężczyzn. Takich jak my — widzowie. Bo tylko pozornie chodzi tu o sprawę oskarżonego. W rzeczywistości rozprawa dotyczy nas. Każdy jest sędzią i każdy oskarżonym w wielkim procesie wytoczonym sumieniu i moralności współczesnego człowieka. Stąd dramatyczne napięcie i jakiś wewnętrzny, ukryty dynamizm tego niefilmowanego z pozoru dzieła.

Nie wiem czy nasi czytelnicy domyślają się, że mowa tu o słynnym, dziś niemal na całym świecie, amerykańskim filmie Sydney Lumet'a „Dwunastu gniewnych ludzi". Jest to filmowy debiut reżysera telewizji. Zjawisko niewątpliwie interesujące. Właśnie w Stanach Zjednoczonych, gdzie telewizja przyczyniła się do kryzysu kinematografii, staje się ona źródłem artystycznego odrodzenia twórczości filmowej. Najgłośniejsze filmy ostatniego okresu (m. in. znany u nas „Marty") są adaptacjami widowisk telewizyjnych.

Film Lumeta jest także adaptacją przedstawienia telewizyjnego. Po zakończeniu przewodu sądowego 12 przysięgłych zbiera się na naradę by wydać wyrok. Dokucza straszliwy upał. Sędziowie pragną jak najprędzej wyrwać się z tego dusznego pokoju, wrócić do swego normalnego, osobistego życia. Sprawa jest zresztą jasna. Wszystkie dowody wykazują, że oskarżony, młody chłopiec, zamordował znienawidzonego przez siebie ojca. 11 sędziów uznaje go za winnego. Nad pokojem ciąży widmo elektrycznego krzesła. Wtedy głos zabiera sędzia nr 8 (którego świetnie gra aktor Henry Fonda, znany u nas m. in. z „Miasta bezprawia"). Stopniowo podważa dowody winy, przełamuje obojętność sędziów. To przecież sprawa życia i śmierci człowieka, za którego odpowiedzialne jest społeczeństwo. A jeśli on jest niewinny? Argumenty sędziego nr 8 podważają wyniki przewodu sądowego.

Scena z filmu „Dwunastu gniewnych ludzi".

Cały film opiera się na dialogu. Kamera nie opuszcza sali obrad. Ale ta prostota stanowi owoc kunsztu reżysera, który z niesłychaną precyzją psychologiczną i formalną zbudował swoje dzieło.

Film Lumeta zmusza do myślenia, do dyskusji. Tkwi w nim protest przeciw słabości i omylności prawa.

Czy człowiek, dysponujący tak wątpliwymi środkami, ma prawo skazać na śmierć drugiego człowieka? Czyż społeczeństwo nie ponosi odpowiedzialności za czyny jakie popełniają jego członkowie? Czyż nie jesteśmy wszyscy mordercami? Z drugiej strony Lumet wykracza poza rozważania o sprawiedliwości i stara się dotrzeć do istoty współczesnego człowieka. 12 sędziów to obraz dzisiejszej ludzkości, z jej wszystkimi wadami, słabościami, kompleksami i mitami. Lecz film Lumeta nie należy do modnej ostatnio „czarnej serii". Jego optymizm, choć nie łatwy, jest prawdziwie humanistyczny. Jeśli człowiek jest twórcą wszelkiego zła naszej epoki, to czyż nie w nim tkwi źródło wszelkiego dobra?

W oczach widza, dwunastu zwykłych, zobojętniałych zaginionych ludzi XX wieku, zmienia się w dwunastu „wściekłych". Ludzie odzyskują prawdziwe człowieczeństwo, bo chodzi o sprawę życia i śmierci jednego z nich — człowieka, o sprawę moralnego życia i moralnej śmierci, o wolność ludzkiego sumienia, o zwykłą ludzką solidarność zapomnianą w morzu obojętności i konformizmu.